

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



ZALOTY

WOJCIECH KOSSAK

## WIELKA ROCZNICA.

Piętnastego lipca 1910-go roku uderzy godzina pięćsetnej rocznicy potężnej bitwy, która odwróciła jedną z największych i najświetniejszych kart historii naszej i na długie lata zatrzymała rozlew germańskiego żywiołu, chytrze a nienawistnie ogarniającego naród polski.

Na zielonych polach Grunwaldu i Tannenberga tłumem nieprzejrzanym legli zakuci w stal od stóp do głowy pyszni, niezwyciężeni, zda się, męże. Jakgdyby śnieg spadł w on dzień skwarne lata, zabieliła się ziemia od płaszczów krzyżackich, a na tych śnieżnych płaszczach z krzyżem czarnym, ob-

leśnie łudzącym świat przez obłudę zdrażdiecką nieprawych sług Chrystusa, zakwitły gęsto purpurowe róże krwi, wylanej polskim, litewskim i ruskim mieczem.

W posoce i w pyłe tarzały się olbrzymie ciała rycerzy, z mnogich ziem świata pod sztandar łupieżczy zwołanych. Trzystu

komturów i co przedniejszego rycerstwa położyło się trupem, jako bór wyniosły, pod ogromnym toporem nadludzkiego drwala.

Pozłociste i szmelcowane zbroje w szczękach rozpadły się, jako szkło kruche, strzaskały się mocarne dwuręczne miecze, pawie



WOJCIECH KOSSAK

czuby, zdeptane przez kopyta końskie, wbiły się w skrwawiony, rozmiękły grunt, pół setki z górą chorągwi krzyżackiego wojska runęło z trzaskiem do nóg polskiego króla, a ponad tem wszystkim unosiła się wiekopomna sława, dmąc w srebrną trąbę na cztery strony świata, iż spełniła się Rzecz wielka.

Ale ważniejsze od sławy i chwały, w której, jako w słońcu, stanęło rycerstwo polskie, śpiewające na boju grunwaldzkim dziękczynną pieśń zwycięstwa, było poczucie, iż oto padła w proch przemoc wraza, zagrażająca wszystkiemu, co polskie i słowiańskie, że skruszył się młot piekielny, ciężący nad głowami cichych mieszkańców odwiecznych ziem Piastowych, i że nadszedł czas, kiedy ptak srebrny czysty i dumny rozwinąć może szerokie skrzydła do lotu wolnego.

Szlachetny Ulryk von Jungingen, ostatni może z tych, którzy po rycersku i chrześcijańsku służbę swą pełnić chcieli, padł, rażony maczugą litewskiego chłopca; padli z nim razem wszyscy, co dostojnością, mocą, powagą wstawili się w Zakonie. To, co pozostało, lichą było jeno gromadą bez woda i ducha, bez żądzy chwały, bez iskierki słonecznej w sercu. I zdawało się, że te pięćdziesiąt dwie chorągwie, szumiące u stropu katedry wawelskiej, szumieć będą zawsze tylko o tryumfach polskiego oręża i o dniach radosnych, jak ów dzień krzyżackiego

pogromu. Jakoż przez długi czas jeszcze polskie niebo patrzyło na błogosławiony rozkwit przemożnej Rzeczypospolitej. Kazimierzowi Jagiellończykowi do nóg skłoniły się wysłańce ziem pruskich, poddając się jego ojcowskiej opiece; przed tronem Zygmunta, ustawionym na rynku krakowskim, chylił się porzec z orłem brandenburskim, i księżę pruskie klęka kornie, hołd składając w imieniu swoim i następców swoich własnemu panu. Na Bałtyckim morzu karawele Zygmunta Augusta i Władysława IV-go korable wojenne z rozpiętymi żaglami płyną pod zorzę płomienistą, jaśniejąc królewskimi banderami, ku podziwieniu żeglarskich narodów świata. Alić przydeptany wąż podnosi z wolna głowę, i szlachetność polskich suzerenów na złe wychodzi ludom, berłu ich podległym. Szybko rozrasta się księstwo, królestwem się czyni, armię sztyftuje karną a mnogą i oto...

I oto odwróciła się znowu wielka karta historii, karta dla nas czarna i krwawymi usiana różami. Znika polskie państwo z map Europy, zwiąja skrzydła ptak wysokiego lotu, a jako polip olbrzymi, rozsiada się i rozpiera z butą zuchwałą, świeżą krwią francuską ciekące cesarstwo niemieckie, wyrosłe na zdradzie i gwałcie.

Gdy uderzy godzina grunwaldzkiej rocznicy, jakże ją święcić mamy, potomkowie smętni onych rycerskich mężów, grzmiących piorunnymi mieczami o czaszki i serca teutońskie. Zalić radować się nam, czy smuć? boć przecie po Psim Polu, Płowcach, Grunwaldzie i Hołdach pruskich przyszły okropne lata klęski i pohańbienia, lata knebla w ustach, lata wygnania z ziemi ojczystej, lata ucisku dziatek polskich za słowa polskiej modlitwy. Tej „Bogarodzicy”, co biła w niebo nad złamaną potęgą krzyżacką, nie wolno dziś powtarzać ustom dziecięcym. Katowiska różga oprawcy-nauczyciela zawisa nad główkami młodocianych pokoleń i chce złamać w sercach wiośnianych miłość dla polskiej Ojczyzny. Nie złamie!

Uderzą dzwony Wawelu i Panny Maryi w Krakowie, uderzą dzwony świętego Jura lwowskiego, uderzą dzwony Fary Warszawskiej i wileńskiego kościoła Anny świętej,



Olszynka grochowska, popularny i ulubiony obraz Wojciecha Kossaka, znany w całej Polsce z pięknej reprodukcji krakowskiej. W dworach wiejskich i mieszkaniach miejskich przypomina ta pełna brawury kompozycja dawno minione czasy, i mimowoli dźwięczy ci w uszach piosenka: „Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę“.

gdy nadejdzie dzień rocznicy wielkiej, a upamiętnić ją należy nie uczciami i pochodami ale rozpamiętywaniem przeszłości i wpatrzeniem się w przyszłość narodu.

Upamiętnić też należy tę tysiącletnią walkę, jaką przetrwaliśmy w ustawicznych zapasach z zakamieniałym wrogiem niemieckim. Niech oczy polskie patrzają uważnie i pilnie na momenty tego żywiołowego boju i niech serca czerpią w nich otuchę, a duchy mądrość na dni jutrzejsze.

I w tej myśli właśnie *Tygodnik Ilustrowany*, który święto półwiekowej pracy na zagonie ojczystym obchodzić będzie w roku bieżącym, czytelnikom swoim wszystkim chce złożyć upominek. Upominkiem tym, albumem, obrazującym walkę wspomnianą, zapasy polsko-niemieckie, pragniemy podnieść serca i duchy bratnie, aby z wielkiej przeszłości zaczerpnęły moc i wiarę w przełomowej obecnej dobie. Odwróciło się od nas słońce wielkości i siły. Mamy jeno w sobie wielkość nieszczęścia. Opuścili nas przyjaciele dawni. Najszlachetniejsi tylko pozostali, ale szlachetnych mało dziś na świecie. Ale mamy natomiast skarby cenniejsze może



CRDYANS

WOJCIECH KOSSAK

od mieczów i armat, skarby, które kiedyś zwyciężyć muszą: skarby ducha twórczego, nie więdnące nigdy kwiaty natchnienia.

Jeden z największych artystów polskich lat ostatnich, który w pełni podoła włożonemu nań nie tylko artystycznemu, ale i obywatelskiemu zadaniu, Wojciech Kossak, tworzy właśnie cykl obrazów, zamówionych przez Redakcję *Tygodnika Ilustrowanego*, jako pierwsze uczczenie Grunwaldu. Nie wypada nam rozszerzać się nad znaczeniem tej pamiątki, związanej ze wspaniałym, pokrzepiającym do dziś momentem dziejowym i z jubileuszem najstarszego pisma ilustrowanego w Polsce, pisma, które, pochlebiamy sobie, zawsze spełniało obowiązek placówki kulturalnej, strażnicy polskiej przeszłości.

Z radością zapisujemy dziś tylko, że niezadługo już będziemy mogli rozrzuć po Polsce całej żywe, barwne, artystyczne przypomnienie tego, co żyć powinno w sercach polskich na wieki.



PIESZCZOSZEK

W. WODZINOWSKI

BOLESŁAW KOSKOWSKI:

## O rzeczach możliwych i niemożliwych.

W nr. 8 *Tygodnika* Bolesław Prus ustanowił kilka tez, wypływających z jego charakterystyki dotychczasowej polityki polskiej w okresie konstytucyjno-rosyjskiej. Znakomity pisarz twierdzi mianowicie:

„Nie tylko nie uzyskaliśmy jakichś specjalnych, choćby skromnych ulg dla naszej narodowości, lecz naraziliśmy się na ograniczenia.

„Rząd rozdrażniliśmy w takim stopniu, że pozbawiono nas większej części postów do Dumy. W rosyjskiej opinii publicznej nie potrafiliśmy obudzić dla siebie sympatii, owszem, straciliśmy tę, jaka już rodziła się w epoce przedkonstytucyjnej.

„W Dumie zniechęciliśmy partje postępowe, nie pozyskawszy partji konserwatywnych.

„Z mównicy parlamentarnej nie umieliśmy korzystać w taki sposób, ażeby z jednej strony przekonać naród rosyjski, że... potrafimy walczyć za „naszą i jego wolność”, i ażeby z drugiej strony—plastycznie, dobitnie przedstawić Rosji nasze nieszczęśliwe położenie pod względem politycznym, ekonomicznym, oświatowym, wyznaniowym i narodowościowym”.

Zarzuty te są tak ciężkie i z tak poważnych ust wyszły, że niepodobna nie zastanowić się nad tem, czy są słuszne. Przytem do takiego zastanowienia ośmiela sam autor, zastrzegając się z góry, że nie rości „najmniejszej pretensji do nieomyślności”.

Według mnie, sformułowanie w powyższy sposób zarzutów przeciw Kołu Polskiemu,

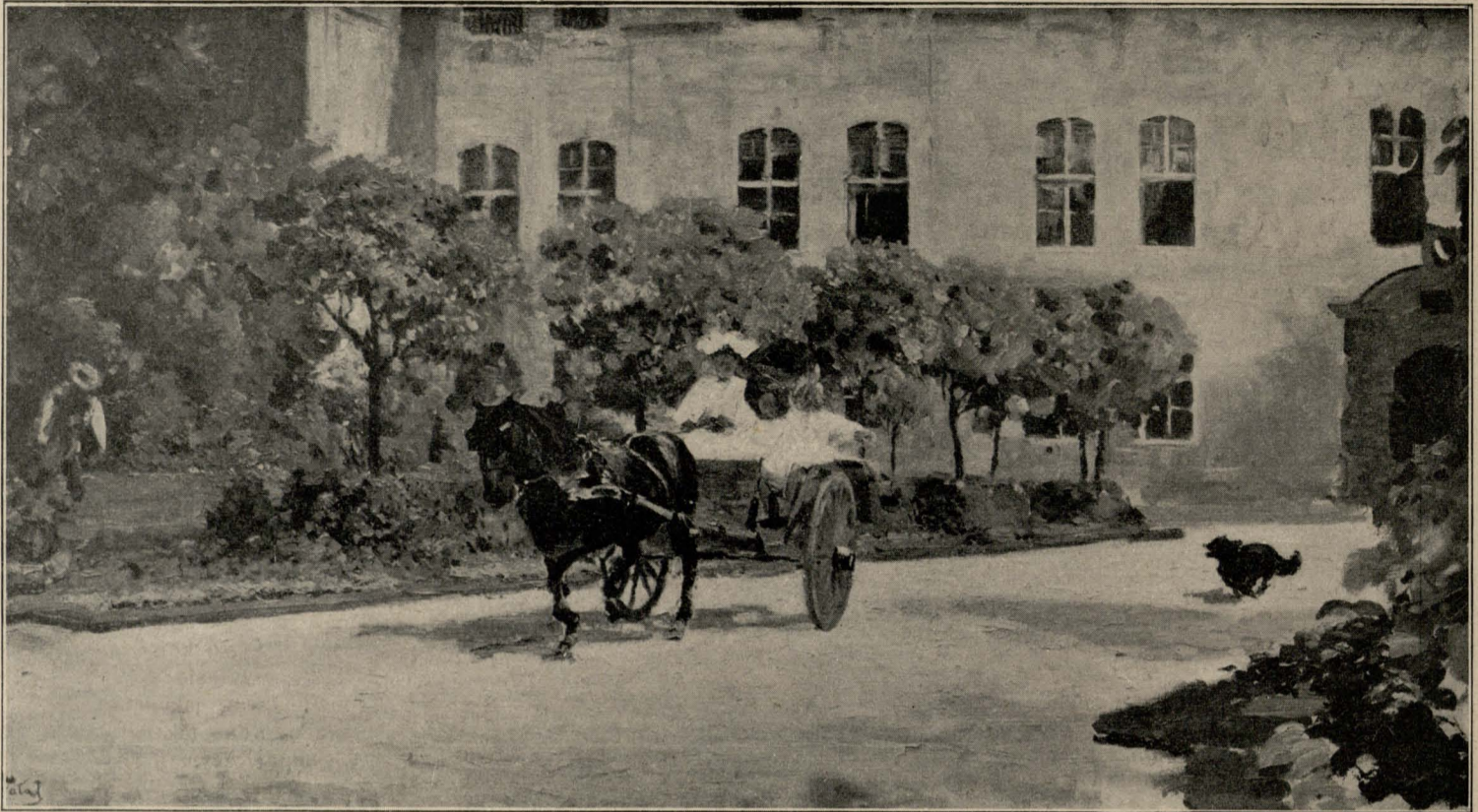
względnie przeciw stronnictwu, które w przeważającej mierze wpłynęło na ostatnie fazy polityki polskiej, każe się domyślać, że sz. autor uważa za możliwe jednorazowe pozyskanie dla sprawy polskiej czterech czynników, mogących na nią wpływać, a przynajmniej pozyskanie jednych bez narażenia sobie drugich. Tymi czynnikami są: rząd; rosyjska opinia publiczna; partje postępowe; partje konserwatywne.

Otóż jest widoczne, że żadna na świecie polityka takiego cudu dokonaćby nie mogła, ponieważ każdy z wymienionych czynników jest nie tylko samoistny i samodzielny, ale oprócz tego przeciwstawiający się (mniej lub więcej) pozostałym innym, tak że, kto pragnie pozyskać sympatje jednego, to—znowu z odpowiednimi stopniowaniami—musi utracić sympatje drugiego.

Innego wyjścia z tego dylematu niema. Albo raczej jest, ale jedynie dla sprawy mniej więcej wszystkim obojętnej, wówczas bowiem możnaby z pewnymi widokami powodzenia spekulować na sympatje postępowców i konserwatystów jednocześnie. Sprawa polska jednak nie tylko do obojętnych dla Rosji nie należy, lecz przeciwnie, stanowi jeden z zasadniczych pierwiastków różnic partyjnych rosyjskich. A zatem tu trzeba było wybierać: albo konserwatysty, albo postępowcy. Iść albo z jednymi, albo z drugimi. Taka zaś decyzja wcaleby jeszcze nie rozstrzygała o postawach dwu innych czynników: rządu i opinii publicznej rosyjskiej. Bo rząd a konserwatysty—to wcale nie jedno, jeśli za konserwatystów uznamy np. paździenkowców; zaś opinia publiczna rosyjska nie byłaby pozyskana przez to, że Koło polskie poszłoby ręką w rękę z kadeta-

mi, bo są w Rosji koła i kierunki radykalne, mające może większy, niż kadeci, wpływ na tę opinię. Jeżeli na początek, dla ułatwień w rozumowaniu, przypuścimy, że Koło miało do wyboru jedynie między konserwatystami a postępowcami, to zapytam: czy wszyscy ci, którzy wierzą w możliwość pozyskania przez kogokolwiek w Rosji sympatji, zgodziliby się na tę drogę, które wyłącznie do tych sympatji prowadzą? Bo, żeby pójść razem z konserwatystami (a pod tą nazwą, sądzę, że Prus miał na myśli tylko paździenkowców), trzeba by przede wszystkim wyrzec się... programu autonomii Polski. Kto stał przy tym programie, choćby, jak chce Prus, motywując go „koniecznym rozwojem przyszłych wypadków”, ten w oczach konserwatystów nabierał charakteru *Reichsfeind'a*, wroga „jednej nierozdzielnej Rosji”. A nie trzeba mniemać, iż się to stało dlatego, żeśmy nie umieli im wytłumaczyć „pięknych widnokręgów”. Być może, że Koło w I Dumie niepotrzebnie powoływało się na kongres wiedeński, ale przecież p. Stecki w II Dumie już zupełnie inaczej mówił; gdyby zaś nawet i on źle mówił, to nas wyręczał w setkach artykułów pp. Nestor, Kotlarewskij, Struwe i w. innych, a więc sami Rosjanie ze szpałt własnych, bardzo w dodatku rozpowszechnionych pism rosyjskich. A czy kogo z konserwatystów te artykuły przekonały? Czy ktokolwiek z tego obozu potraktował poważnie nasz projekt autonomii?

Kto więc chciał politykę polską oprzeć na sojuszu z konserwatystami, ten nie tylko nie powinien był występować z programem autonomii, ale nawet nie mógł o nim pisać choćby w charakterze „pięknej perspektywy”. Pozwolę zaś sobie w tem miejscu przypomnieć,



SCENA Z ŁAŃCUTA (Z Salonu T. Z. S. P.)

JULIAN FAŁAT

że, jeśli program autonomii był błędem, to winę zań ponoszą u nas wszystkie bez wyjątku stronnictwa, bo w okresie konstytucji rosyjskiej nie było u nas stronnictwa, któreby się na ten program nie zgodziło.

Od dalszych konsekwencyach sojuszu z konserwatystami nie będę już mówić, bo to było przedmiotem niedawnych roztrząsań w prasie. Zwrócę tylko uwagę, że obecnie nawet Stronnictwo Polityki Realnej nie zaleca tego sojuszu, trafnie uznając jego niemożliwość tam, gdzie niema warunków na politykę *do ut des*.

W każdym razie jedno jest niewątpliwe: sojusz (czy porozumienie) z konserwatystami, który byłby możliwy i w pewnym stopniu celowy tylko w pierwszej Dumie, nie znalazłby u nas wówczas żadnego poparcia w społeczeństwie, czyli straciłby całą swą zewnętrzną powagę, a jednocześnie zwróciłby przeciw nam całą opinię rosyjską, która jest w ogromnej masie „postępowa”. Tych dwu ptaków jednym strzałem ubić nie można,—to trudno.

Co się tyczy postępców, to, jeśli Prus pod tem mianem rozumie kadetów (bo chyba nie radykałów w rodzaju trudowików i socjalnych demokratów?), nie zniechęcić ich można było tylko pod warunkiem, żeby się szło ręką w rękę z nimi we wszystkich przypadkach i przygodach, poczynając od uchwalania programu wywłaszczenia i „odezwy agrarnej do ludu”, przechodząc do odezwy wyborczej i kończąc na taktyce wskroś opozycyjnej i demonstracyjnej w trzeciej Dumie. Zapytuję teraz, czy jest w Polsce poważny człowiek, nawet niezbyt biegły w rzeczach i sprawach politycznych, któryby posłom polskim taką szaloną taktykę zalecał? Ja wiem, że jest u nas stronnictwo t. zw. postępowe, które zalecało i zaleca Kołu trzymanie się poły kadeckiej, ale chyba nie... *usque ad absurdum*? A mam tę pewność, że stronnictwo to, gdyby się znalazło w Dumie, jako odpowiedzialne za politykę polską, prędko zmieniłoby swój pogląd na ścisły sojusz z kadetami, a zatem także... zniechęciłoby ich ku sobie. To bowiem jest faktem, że despotyzm rosyjski jest równie silny u konserwatystów, jak u postępców, i że doktry-

nerstwo polityczne tych ostatnich nie znosi żadnych kompromisów.

A przytem—powtarzam—być z kadetami, to jeszcze wcale nie znaczy mieć za sobą opinię publiczną rosyjską. To znaczy mieć za sobą opinię kadecką, a przeciw sobie—konserwatywną, umiarkowaną, rządową, radykalną i wszelką inną.

Prawdą jest wszystko, co ustanawia Prus w swej czwartej tezie. Ale „nie zniechęcić” można było tylko jazdą do Wyborga, „pozyskać” zaś wyrzeczeniem się programu autonomii, a nawet drobniejszych koncesji narodowych (przypominam projekt szkolny Koła w II Dumie).

Zasługują na uwagę jeszcze dwie tezy Prusa: druga i piąta.

W drugiej czytamy, żeśmy „rozdrażnili rząd”. Czem? Chyba nie mowami w Dumie, któreby „przedstawiały nasze nieszczęśliwe położenie”, bo według Prusa ich Koło nie wypowiedało, zresztą Prus, zalecając je, nie przypisuje im *eo ipso* charakteru „rozdrażniającego”? Rząd byłby niewątpliwie „rozdrażniony” przekonywaniem, że potrafimy walczyć za „naszą i waszą wolność”, ale i takich deklaracji posłowie polscy nie składali. Więc czem? Odpowiedź na to jest wcale nietrudna: naszym programem autonomicznym, przy którym, jak się rzekło, opowiedziały się... wszystkie stronnictwa polskie.

Rezultat więc „rozdrażnienia” był nieuchronny. Chodziło tylko o to, aby reprezentacja nasza, której powierzono czuwanie nad polityką polską, umiała jego znaczenie i trwałość w porę przewidzieć i odpowiednio do tego się zachować. Na to jednak trzeba było mieć za sobą społeczeństwo, daleko realniejsze w myśleniu politycznym. Że go jednak nie było, to wina za to nie może spaść na głowy pojedynczych ludzi, a choćby i stronnictw.

Słyszę wreszcie (i nie tylko z ust Prusa), żeśmy „stracili w rosyjskiej opinii publicznej tę sympatyę, która już rodziła się w epocę przedkonstytucyjnej”.

Lubo siedzę tu, w Petersburgu, już od

dwu lat z górą i lubo pilnie śledzę rozwój rzeczy, opinii i kierunków politycznych rosyjskich, nic o tem wszystkim nie wiem.

Możeśmy stracili jaką sympatyę, lecz tę jedynie, która nie była nic warta. Tę, która opierała się na sentymencie. Która wyływała z abstrakcji wolnościowych, właściwych okresowi „burzy i nacisku”. Która znika, jak śnieg wiosenny pod promieniami słonecznymi.

Na to zgoda. Takiej sympatii już prawie w Rosyi nie mamy.

Ale do tego, kto by ją potrafił utrzymać teraz, w tych zimnych czasach otrzeźwień, rozczarowań i rozgoryczeń, zwróciłbym się wraz z Molierem ze słowami: *Vous êtes orfèvre, Monsieur Josse!*

P. Dmowski, który nie wierzył w Wyborg i „rzeczpospolitą demokratyczną”, chciał ją, tę opinię, zakląć oświadczeniami słowiańskimi, wysnutymi z trzeźwych przesłanek politycznych, ale mającemi jednocześnie natrafić na gorącość uczuciową. No i, jeśli chodzi o bardzo szeroką opinię,—chybił.

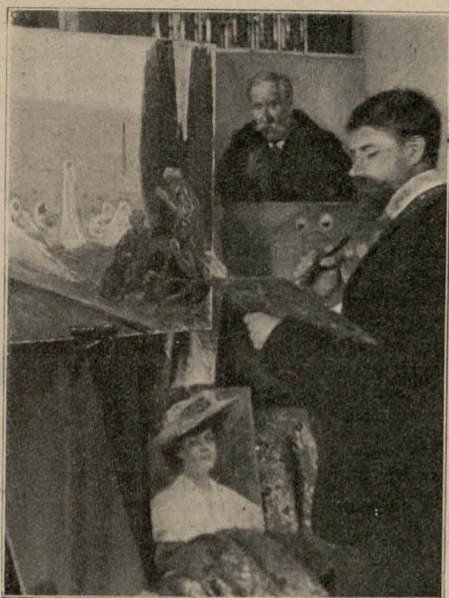
Bo ta opinia jest w tej chwili niezdo-  
byta.

Zdobyć zaś ją można z czasem, „etapami”, jak Prus przy innej sprawie mówi, i z zasobem wielkiej cierpliwości. I to nie w imię uczuć i podporządkowywania się obcym programom partyjnym, lecz przez myśl, przez postęp zrozumienia, że rozwiązanie sprawy polskiej w Rosyi leży w interesie samego państwa, jego przyszłości i jego potęgi, jego wzrostu i rozwoju cywilizacyjnego. Gdy zaś takiego rozumienia jeszcze niema, bo ono przychodzi, jako owoc dojrzałości politycznej, żadne przedstawicielstwo polskie nie potrafi dogodzić jednocześnie rządowi, konserwatystom i postępcom. Przeciwnie, każde musi się komuś narazić: jeśli rządowi i konserwatystom, to jednocześnie powstrzymywać okres choćby gospodarczych reform; jeśli postępcom i radykalizmowi, to „tracić sympatyę opinii rosyjskiej”. Więc Kołu w tych warunkach pozostaje tylko jedno: postępować tak, jak mu każe jego własne sumienie, jego poczucie odpowiedzialności przed krajem i historią.

# Z WĘDRÓWKI PO PRACOWNIACH ARTYSTÓW.

U LEONA KOWALSKIEGO.

Chcąc poinformować się o losach przyszłej wystawy „Zera”, udałem się do sekretarza tej żywotnej organizacji, p. Leona Kowalskiego. Zasta-



LEON KOWALSKI W PRACOWNI.

łem go z pędzlem w ręku przy wielkim obrazie na tematy krymskie, który, aczkolwiek jeszcze nie jest wykończony, budzi już jednak żywe zajęcie doskonałą harmonią tonu i głębokiem odczuciem nastroju.

Rzut oka po przestronnej pracowni przekonał mnie, że dzięki przypadkowi znalazłem się w przybytku sztuki bardzo wysokiej, oryginalnej i szczerzej. P. Leon Kowalski od niedawna dopiero osiadł w Krakowie, i chociaż tu głównie pod okiem mistrza Matejki pracował na ostrogi artystyczne, później jako stypendysta Wydziału krajowego przebywał czas dłuższy w Paryżu na studiach i w ten sposób znalazł się poza horyzontem naszej miejscowej, krakowskiej sztuki. Teraz



ALEJA

L. KOWALSKI

powrócił nań i bez właściwego wszelkim proroc-  
twom ryzyka można mu wróżyć, że, przełamawszy  
pierwsze lody obojętności, wejdzie niebawem  
w skład najświetniejszej konstelacji, na tym hory-  
zonie świecącej.

— Dlaczego pan tak późno zaczyna sobie  
zdobywać należne miejsce w naszej sztuce?—za-  
pytuję, patrząc na przepiękne pejzaże ukraińskie,  
które wyglądają ciekawie z kąta pracowni, i na  
kilka bardzo szlachetnie traktowanych portretów,  
które artysta sam dla siebie malował.

— Panie, uczyłem się. Pierwszy mój nau-

czyciel, malujący w Rosyi Francuz Gay, którego  
pan musiał zapewne widzieć, mawiał mi zawsze:  
tylko byle nie za prędko przypinać skrzydła do  
lotu. I to mi zostało. Kiedy, jako stypendysta  
akademii krakowskiej, wypchnięty do Monachium,  
drapnąłem stamtąd do Paryża i rozpatrzyłem się  
w tamtejszej robocie, dopiero wówczas zrozumiałem  
całe znaczenie przestrogi mojego pierwszego  
profesora i dowiedziałem się, co to znaczy nauka  
i czego się jeszcze można nauczyć... Dlatego się  
też „spóźniłem”, jak pan powiada—dodał po chwili  
z uśmiechem.

Otworzyłem grubą tekę, jedną z wielu, leżą-  
cych na stole i—pod stołem... mnóstwo rysunków,  
akwafort pierwszorzędnej wartości. Wszystko nie-  
słychanie sumienne, subtelne, trafne i głębokie  
w charakterze, o ile chodzi o portret, i pełne  
szczerego męskiego sentymentu, jeżeli to pejzaż,  
fragment jaki miejski lub który zakątek naszego  
bajecznego Krakowa.

— Widzę, że rezultaty tego „spóźnienia”  
pańskiego są tak bogate, iż niebawem nadrobi pan  
całe spóźnienie z nawiązką.

— Będę się starał—zapewne! Ale widzi pan,



ŻONA ARTYSTY

L. KOWALSKI

gdybym mógł, chętniebym znowu wrócił do Paryża,  
do któregoś z moich ulubionych profesorów,  
Laurensa, Constanta lub Girardota. Nie uwierzy  
pan, jak przyjemnie jest uczyć się w towarzystwie  
osiwiałych już artystów. Dzieła ich dawno już do  
wybitnych, a może nawet wielkich zaliczono, a oni  
ciągle jeszcze przychodzą z teczkami na wieczorną  
szkołę, aby dalej ćwiczyć oko i wprawiać rękę...  
W tym kierunku nie można być nigdy nadto lub  
nawet tylko dostatecznie doskonałym...

Słowate artysty ujawniły mi odrazu pewien  
zasadniczy rys jego twórczości, który uderzył mnie  
natychmiast, gdym się w jego pracowni rozejrzał,  
a którego dotąd nie mogłem sobie określić. Jest



PORTRET hr. S. (akwaforta)

to ciągle dążenie do doskonałości. Wszędzie, na  
każdym obrazie, na każdej niemal notatce, których  
tyle wała się po kątach pracowni malarskiej, znać  
u Kowalskiego charakterystyczne skupienie woli  
twórczej w celu wydobycia się na wyższy stopień  
czy to biegłości technicznej, czy pogłębienia wyra-  
zu, nastroju i uczucia. Obrazy jego to etapy dłu-  
giej, żmudnej drogi po wąskiej, a stromej ścieżynie  
doskonalenia się. Mógł już zatrzymać się dawno  
i zacząć spożywać dobrze zasłużone dary Boże,  
a on tymczasem idzie dalej i dalej, nie bardzo  
dbając o rozgłos.

Z tego wysokiego pojmowania swych zadań  
wynika u Kowalskiego jego zamiłowanie do kom-  
pozycji. Szkice, bagatelki, figielki, kwiaty i listki  
budzą reakcję w tej organizacji artystycznej, prze-  
jętej kultem wielkiej matejkowskiej sztuki. Nie  
cierpi ich, chociaż świadom jest tego, że i w figiel-  
ku może się uwidocznic lwi pazur, oczywiście,  
jeżeli go robił lew. Dlatego też, jako sekretarz  
„Zera”, spowodował p. Kowalski, iż organizacja  
ta przyjęła za zasadę, iż na wystawę swoją będzie  
przyjmowała tylko komponowane obrazy.

Zatopiwszy się w tekach Kowalskiego, ani  
się spostrzegłem, jak minęły dobre dwie godziny  
czasu, dla nas obu tak drogiego. Pożegnałem się  
tedy z sympatycznym artystą, szczerze życząc mu  
powodzenia, na które z pewnością nie będzie dłu-  
go czekał.

VIATOR.



PORTRET

L. KOWALSKI

WIKTOR GOMULICKI:

## SPŁOWIAŁE KARTKI

Resztę mi wiary katechizmowej  
Mój anioł odebrał zdradnie.

(Doprawdy, jak na anioła,  
To było wcale nieładnie...)

Już dawniej piekła myśl  
odrzucałem  
W przedwczesnem wierzeń  
rozbiciu:

Czyż może wierzyć w piekło  
po śmierci  
Ten, kto przecierpiał je—  
w życiu?

Dziś się i z wiarą w niebo  
rozstaję,

Chmurami skryte złotemi...  
Po cóż mam szukać nieba  
w zaświatach,

Gdym już je znalazł — na  
ziemi?

LEON KOWALSKI



KONSTANTY GÓRSKI:

## Z ZA GROBU.\*)

## ITALIAM.

Przez rzeki, góry, głązy dróg  
Chodź ze mną w cichy, znany kraj...  
Zburzonych świątyń przejdziem próg...  
Wśród złomu kolumn stoi bóg  
I, napinając złoty tuk,  
Patrzy w oliwny, senny gaj.  
Wczorajszej nocy wyrósł kwiat,  
Co trąca białość twoich stóp.  
Wita nas dawnych rojeń świat,  
Śnią się dzieciennych widma lat,  
Pachnie rozkwitłych laurów sad...  
Czy już za nami został grób?  
Z wieczornych lilii wstaje woń,  
Łabędzie lecą do swych gniazd.  
Do skroni mojej przytul skroń,  
Na piersi moje głowę skłoń.  
Ciemniejsza czysta niebios toń,  
Wyjrzały bystre oczy gwiazd.

## VILLA MADAMA.

Migdały kwitną, modry dzień,  
Oparem ciepłym rola tchnie.  
Ja błagam — i wśród innych tchnięć  
Wspominaj mnie.  
Słońce się kryje w welnach chmur,  
Idzie pozłocić inny świat,  
Zima z sabańskich czyha gór  
Na wczesny kwiat.  
Otoczy smutny mrok i nas,  
Nastaną długie żalów dnie,  
W imię tych blasków, złud i kras:  
Wspominaj mnie.

## W DZIEŃ PRZENIESIENIA ZWŁOK

## ADAMA MICKIEWICZA NA WAWEL.

Wzięli ją z ziemi na ramiona —  
I, w białe róże otulona,  
Zakuta w trumnę, ale dumna,  
Bo jej nie mogła objąć trumna,  
Szła pieśń.  
Poczęli za nią ptakać młodzi,  
Że im się taka pieśń nie rodzi,  
Że ją ujrzeli cichą w trumnie,  
Gdy pośród starców, zbiegłych tłumnie,  
Szła pieśń.  
Po ludziach przeszedł szal oręza,  
Bo ta, co walczy i zwycięża,  
Ta, która umie, kiedy w truny  
Położą naród, rwać całuny,  
Szła pieśń.  
Nieśli ją w ciszy i w żałobie,  
Lecz nie złożyli pieśni w grobie,  
Bo w białych zwojach, w róż koronie,  
Aby z królami być na tronie,  
Szła pieśń.

## WIDZĘ OKNEM...

Widzę oknem same śnieżne dachy,  
Lecz na oknie hylacynty rosną,  
I dokoła wstają mi zapachy —  
Jakby wiosną.  
Dawno mi już odbiegły piosenki,  
Aż tu w piersiach nagle bez powodu  
Rozbudziły mi się jakieś dźwięki,  
Jak za młodu.  
Zawsze patrzeć na kwiatów kielichy,  
Zawsze takie dźwięki słyszeć w sobie,  
I być światu tak obcy i cichy,  
Już jak w grobie.

BOLESŁAW PRUS:

## Rozwój potęgi woli.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Kiedy fale oceanu nie usypiającym ruchem, na długości setek mil, rozbijają brzegi, kiedy krople deszczu kruszą skały i zniżają szczyty gór najwyższych, kiedy z biegiem wieków wyrastają i znikają lasy roślin, wody zajmują miejsce łądów, łądy ukazują się, gdzie pierwiej była woda, kiedy w różnych pokładach geologicznych występują coraz inne formy istot niegdyś żywych, zdumiewamy się wobec potęg natury, przekształcających skorupę ziemską i twory, na niej zamieszkałe.

Otóż drobny człowiek, pomimo wątłości i znikomości, jest bodaj czy nie taką samą potęgą. Przecież i on, budując tamy i przystanie, kształtuje brzegi morskie; gdy mu potrzeba, wznosi na równinach pagórki, albo zniża wysokości, zatapia ziemie, albo wydobywa suche grunty z pod powierzchni wody. On też sieje albo wycina lasy, nawet tworzy nowe odmiany roślin i zwierząt.

Ta tylko jest różnica między człowiekiem i naturą, że, gdy wśród niej siły ślepe i nie czujące (przynajmniej tak nam się wydaje), działają według nieugiętych zasad mechaniki, w kierunku najmniejszego oporu, człowiek jest potęgą świadomą, która działa w kierunku obmyślanych zamiarów, sposobami, najłatwiej prowadzonymi do celu.

Ta twórcza potęga w człowieku, która, stosownie do potrzeb, potrafi zmieniać dzieła i zjawiska przyrody, która rządzi samym człowiekiem, a nawet ludzkiemi gromadami, potęga ta nazywa się: „rozumną wolą”. Ona odkrywa dalekie a nieznane części świata; ona wznosi gmachy podobne do pagórków i buduje maszyny dziesiątki tysięcy razy silniejsze od człowieka. Ona z niesfornych jednostek ludzkich tworzy uporządkowane państwa, wybrańcom każe wyrzec się osobistego szczęścia dla ofiary, setki tysięcy wojowników prowadzi na pole śmierci. Ona sprawia, że co roku na powierzchni tysięcy mil kwadratowych wschodzą i dojrzewają sztucznie hodowane rośliny, że z głębi ziemi, dniem i nocą, praca górnika zdobywa użyteczne minerały.

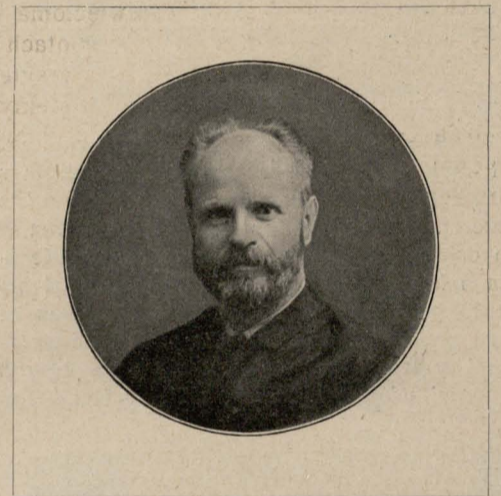
Mówiąc, że Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, Biblia ma słuszość: rozumna wola jest to olbrzymia potęga, najcudowniejsza z tych, jakie działają wśród natury. Całe nieszczęście, cała klątwa dziejów polega na tem, że — owej mądrej woli jest między ludźmi bardzo mało. A gdy jedni z nas częstokroć działają bez myśli, inni wręcz unikają jakiegośkolwiek działania. Porachujcie próżniaków, którzy nic nie robią, leniwców, którzy pracują ospale, zapaleńców, którzy pod wpływem jakiejś podniety rzucają się do działania, lecz nigdy go nie kończą... Policzcie oszustów, zużywających ogromny dowcip na szkodę bliźniego, zbrodniarzy, którzy nakładem wielkich sił i odwagi rujną cudze szczęście, życie, lub niszczą rzeczy użyteczne... Dodajcie do tego czas i zdolności, marnowane przy kartach, pieniądze, puszczone z dymem, zdrowie duszy i ciała, topione w jeziorach alkoholu, a otrzymacie przybliżony obraz tego: jakie bezmiary ludzkich sił niszczą się nieprodukcyjnie, lub nawet z ogólną szkodą, a jak mały, niedostrzegalny procent „rozumnej woli” działa użytecznie dla rodzaju ludzkiego.

I gdyby nie szalone, już nie zwierzące, ale wprost dyabelskie marnowanie siły, stwo-

rzonej na obraz i podobieństwo Boga, kto wie, czy na tym świecie znanoby dzisiejsze cierpienia, nędzę, sieroctwo, śmierć przedwczesną, nienawiści między ludźmi i wojny między narodami?... A w każdym razie ciężar gniojącej nas niedoli byłby mocno zredukowany.

Wobec tego jest rzeczą naturalną, że mędrcy i moralisci od najdawniejszych czasów zadawali sobie pytanie: czy nie możnaby, nie tylko w ludziach pojedynczych, ale w całych grupach, w całych narodach, spotęgować siły rozumnej woli, nauczyć panowania nad sobą, nauczyć celowego i porządnego kierowania czynami?...

A naprzód — czy podobny zamiar jest wykonalny, czy istota ludzka może panować nad sobą i kierować się rozumem — nie zaś chwilowymi wrażeniami lub namiętnością?... Niezawodnie — tak. Przecie, kiedy człowiek, z pośród wielu przedmiotów lub czynów wybiera te, które są korzystne dla niego, lub jemu bliskich, a usuwa niekorzystne, to — już kieruje sobą, już działa pod wpływem rozumu. Człowiek nawet umie robić bez porównania więcej. Ileż to rodziców powstrzymuje się od godziwych przyjemności, skazuje się na pewien stopień niedostatku, ażeby zapewnić lepszy byt swoim dzieciom? A ileż to razy ludzie z całą świadomością (lekarze, marynarze, żołnierze, kapłani) narażają się na



WINCENTY LUTOSŁAWSKI.

cierpienia i śmierć, byle wypełnić swój obowiązek?... Nie koniec na tem. Czyliż bowiem nie spotykamy dokoła siebie działaczy, ciągle pamiętających o swoim celu, cierpliwie wyczekujących na przyjazne okoliczności, stanowczych, gdy nadejdzie chwila do czynu odpowiednia?

„To nie żaden geniusz — mówił Napoleon I-szy — podszeptuje mi: co mam robić w okolicznościach, których inni nie spodziewali się; to zastanowienie, namysł... Jeżeli zawsze jestem przygotowany na wszystko, to dlatego, że każdy mój zamiar długo obmyślałam i przewiduję: co może się wydarzyć?... Zawsze hamuję moje pierwsze odruchy, nigdy nie piszę i nic nie robię, kiedy jestem w gniewie”...

Namyślać się, przewidywać wypadki, hamować wybuchy uczuć, przeczekać chwile nieodpowiednie, to — innymi słowy — znaczy kierować sobą, posiadać „rozumną wolę”... Newton, jeden z największych matematyków świata, odkrycia swoje również przypisywał nie umysłowym zdolnościom, ale cierpliwości, która jest zaletą woli.

Najprostszy napozór sposób kierowania sobą, objawienia woli wyraża się słowami: „ja chcę tego”... Chcę to zrobić, a tamtego nie

\*) Z książki „Wierszem”, wyd. Gebethnera i Wolffa r. 1904.

robić; chcę o tem myśleć, a uwolnić się z pod tamtego uczucia; chcę dzisiaj dać sobie uciąć zdruzgotaną nogę i t. p. Do takiego „chcenia” jednak nie dochodzi się łatwo, i bardzo często potrzeba dużo pracy nad sobą, zanim ktoś nauczy się naprawdę robić, co chce, a chciał tego, co powinien...

Każdy człowiek, z wyjątkiem ciężko rozstrojonych, posiada pewien stopień rozumnej woli, innemi słowy: posiada jakąś część największego, najcudowniejszego skarbu na świecie. Skarb ten trzeba jednak powiększać. A koby pragnął robić to metodycznie, niech czyta, odczytuje, praktykuje i zapamięta treść niewielkiej książki J. Payota pod tytułem „Kształcenie woli” (przekład J. K. Potockiego).

Rozumna wola, wyrażająca się, między innymi, panowaniem nad sobą, jest siłą tak bezcenną, a tak rzadką i nie rozwiniętą w naszym narodzie, że należałoby o tych rzeczach wspominać jak najczęściej, przy każdej sposobności. Taką sposobnością do obecnej kroniki jest książka profesora W. Lutostawskiego: „Rozwój potęgi woli”.

Przedewszystkiem—bądźmy otwarci. Profesor Lutostawski od niedawna mieszka w Warszawie, lecz już miał szereg odczytów i... już potrafił narazić się nie tylko postępowym kołom, ale, co gorsza, ludziom uczonym. Jest to chyba najoryginalniejszy człowiek w Polsce, który włada ośmioma lub dziewięcioma językami, napisał wiele dzieł o przedmiotach niemałej wagi i wykładał w kilku uniwersytetach. Jest przytem niezwykle zręcznym dyalektykiem i posiada, obok niewątpliwej odwagi cywilnej, łagodność gołębia. Gdy dodamy nastrój poetycki, rozległą i rozmaitą wiedzę, wśród której mieści się historia filozofii, logika, chemia, teologia, etyka, estetyka, bodaj że mistyka i magia, będziemy mieli przynajmniej szkic portretu tego niezwykłego człowieka.

W książce: „Rozwój potęgi woli” chodzi autorowi „o cel praktyczny, mianowicie o podniesienie poziomu zdrowia, sił i duchowego rozwoju w najszerszych warstwach narodu”. Więc zaleca wstrzemięźliwość od alkoholu, tytoniu, kart, rozpusty uczy, jak zdobyć łagodność, miłość milczenia, prawdomówność, pracowitość i t. d., lecz sądzi (co jest dla mnie dużym kłopotem), że zalety powyższe, tudzież mnóstwo innych, zdobyć można—za pomocą rytmicznego oddychania.

Każę więc wdychać łagodność, wydychać gniew, wdychać prawdomówność, wydychać kłamstwo, wdychać czystość, wydychać nieczystość i t. d. Z pewnością, że my wogóle nieumiejętnie oddychamy i że porządne oddychanie może mieć wpływ nie tylko na siły fizyczne, ale i duchowe. Na nieszczęście szanowny autor swoją metodę posuwa niekiedy za daleko, np.:

„Odgraniczywszy się symbolicznie od świata, zacząć kolejno wciągać powietrze przez lewą dziurkę od nosa, potem zamknąć lewą dziurkę i powoli wypychać powietrze przez prawą... i wyobrazić sobie, że wciągamy senność, a wypychamy wszelkie troski i zbyteczne myśli... Przed zaśnięciem dobrze jest myśl skierować ku jednostajnie powtarzanej modlitwie w dwu wyrazach: „Chryste, oświeć”, rytmicznie wymawiając w myśli „Chryste” przy wciąganiu powietrza, „oświeć” przy wypychaniu”.

Lecz w innym miejscu książki autor wypisuje takie np. złote słowa: „Droga do niepodległości osobistej i narodowej zaczyna się od opanowania żądz, nałogów, samolubstwa i lenistwa obywateli”.

W ogólnych zarysach „Rozwój potęgi

woli” odpowiada „Kształceniu woli”; tyle jednak w pracy prof. Lutostawskiego spotyka się „yogizmów”, czyli—magii, praktykowanej przez Hindusów, że książkę tę należy czytać oględnie. Dobrzeby też było, ażeby nasi lekarze powiedzieli coś—o wartości hinduskiej metody oddychania, a psychologowie—o pożytku kojarzenia rytmu oddechowego z rytmem wyobrażeń.

Może szanowny autor ma słuszość, może będzie ją miał i wbrew uczonym. Ja jednak wyrokować o tem nie mam odwagi.

## PATRON WIOSNY.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Święty Józef!

Niema bodaj milejszego Świętego dla wsi polskiej nad tego Opiekuna Bożego Dzieciątka, nad Patrona Wiosny!

Chyba jeden Święty Jan, nad srebrnymi wodami stojący, mógłby z Świętym Józefem iść w paragon, chyba jednych Jaśków na liczbę tyle, co Józów i Józików!

Co chałupa, to albo Józik, albo Józefka. Nie dziwota, toć boćki w tę porę zlatują, a jakie kto sobie imię przyniesie, to i ma. A przytem któżby



Ś-ty Józef. Rys. z albumu P. Stachewicza „Boży rok”.

się to do opieki tego świętego nie garnął! Kto? Z prostego stanu pochodził, ciesielką się trudnił, to i drewnianym chatom najbliższy, i nie chmurną jesień, jak święty Michał, ale kwietnią wiosenkę zwiastuje...

Dobry święty i znany. Niema kościołka, niema feretronu bez Jego wizerunku, niema chaty bez obrazika. Jest z palmą, niby z wierzbiniową kiścią, malowany, jest osiołka z Jezusem i Bożą Rodzicielką po egipskich piaskach wiodący, bywa i w szkaplerz z Częstochowy święcony zaszyty. Przy narodzinach człecznych bywa i przy skonanu w głowach przystaje i ostatnie wołanie: „Jezus! Marya! Józef!” słyszy...

Dobry Święty! tylko o pocieszeniu strapionych w niebiesiech myślący i wszelkiej niedoli orędownik.

A już dla naszej ziemi najmiłościwszy. Z wiosną doń schodzi, ciężkiemu przednówkowi i biedzie koniec zwiastuje. Z wiosną schodzi...

A gdzie jest kraj pod słońcem, coby tak każdej nowej wiosny pożądał, jak nasz?

Toć wiosna to zieleń, to nadzieja, to jakieś czegoś bardzo upragnionego świtanie, to choćby wspomnienie tych wiosen, co były...

— A dobrze mieć choć byłę wiosny.

Święty Józef! Imienin co niemiara, i wspomnień serdecznych przedź obfita...

Co dom, to laurka, to życzenia. Więc „tego”, więc „owego”, jak komu.

A i wspomnienia chodzą w dzień ten ku



tym, co imię świętego Patrona nosili, na dobrą pamięć potomnych zarabiając.

W starym szlacheckim dworku na białej ścianie obrazek, stary sztych... Dymy działowe... miasto w pożodze... spienione nurty rzeki... koń w skoku, a na nim ten, któremu Bóg powierzył honor Polaków! Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie!

Święty Józef... Na obrazku „pan” z brodą... Przy nim książka... symbol tych tysięcy, przezeń napisanych. To ten, co nauczył czytać polskie książki, to s. p. Józef Ignacy Kraszewski!

Pokój mu wieczny..

Święty Józef! Wiosna nie wiosna, ale już bliżej, niżli dalej. Już wiosniata nuta dzwoni, nuta czynu... Trza z wiosniatą wieścią pośpieszyć! o ziemię, po której wiosna ma przejeść, idzie... Wyrwyją nam zagon ojcowy, największe ukochanie, Niemiec wykupuje ziemię. Potrzeba obrony przeciw nieuczciwemu handlowi. I oto na dobrzyńskiej ziemi w starym Lipnie zawiązuje się obrona spółka, spółka parcelacyjna, z obywateli złożona. Celem jej nabywanie będących na sprzedaż folwarków i parcelacya w ręce tych, co zagona, póki tchu, nie popuszczą. Na pierwszym zebraniu, poświęconem całkowicie tej sprawie, zapisano się na kilkanaście tysięcy rublowych udziałów.

Do Zarządu weszli pp.: Tadeusz Święcki, Antoni Bożewski, Leon Lissowski, W. Żochowski i Zdzisław Rutkowski.

Początek zrobiony. Wątpić nie należy, że spółników nie zbraknie. Tworzyliśmy *unitis viribus* już różne spółki, na różne cele, nie wyłączając „kabaretów”, toż i na ziemię polską grosz się znaleźć winien.

Tym, co myśl obywatelską pierwszą w czyn wcielili, pokłon!

Ku wiosnie, pod święty Józef zaczęli, a da Bóg, że przeciw nawale groźnej Niemczyzny wystawią mur z chłopskich piersi, z piersi polskich Józów.



K. L.

JÓZKA.

SZYMON TOKARZEWSKI:

## ZE WSPOMNIENIA KATORŻNIKA.

„JEDEN... PIĘĆ...”

Był niefrasobliwie wesoły, niby ptak, który buja wiosną ponad kwiecistymi łęgami, wyrzucając z gardziółka nieustanny śpiew na cześć życia, słońca i swobody.

Jego humor, jego dowcip podczas krótkich wycieczek na etapach pozwalał nam często zapominać o trudach długich i śmiertelnie nużących pochodów.

Nędzną strawę, którą przyrzadzaliśmy sobie własnoręcznie, on solą atycką zaprawiał tak suto, że nieraz smakowała nam bardziej, niżli wykwiśnięte potrawy podczas nudnych zebrań etykietałnych.

Przytem był młody, wysoki, gibki, a silny i piękny, prawdomówny, szczery i hojny.

Lecz w moich oczach główną jego zasługą było to, że, kiedy inni bracia-skazańcy patrzyli tylko na ziemię, na pustyne przestrzenie syberyjskie, a wspominając dni ubiegłe i akcyę, w której brali czynny udział, wysyłali ku Zachodowi smutne spojrzenia, on zawsze spoglądał tylko w słońce, dla wszystkich jednak dobroczynne, promienne i ożywcze i skroś pustyń głuchych do *Niej*, do żywej, ludnej krainy stał tryumfalny i pełen nadziei okrzyk: „Alleluja!”

Miał na imię Roman. Wołaliśmy na niego zdrobniałem mianem: Romek, albo Romeczek.

— Czarną dolę trzeba przyjmować z jasną twarzą—mawiał; w myśl tej zasady jego piękna twarz młodzieńcza miała zawsze wyraz pogodny, źrenice błyszczały, niby dwa karbunkuły, malinowe usta pod ciemnym, jedwabistym wąsikiem uśmiechały się zawsze i mimo wszystko...

W Krasnojarsku przy rozstaniu żegnaliśmy się słowy: „Do widzenia!”, nie mając, co prawda, prawie nadziei, aby to życzenie sprawdziło się rychło, a nawet aby wogóle sprawdziło się kiedykolwiek na tym świecie.

Rzeczywiście, dopiero w Haliczu w latach siedemdziesiątych otrzymałem o losach Romka wieści dokładne i pewne od braci-wygnañców, a także i od niego samego.

Manifest z r. 1874 uwolnił wprawdzie Romka z katongi w „zawodach” nerczyńskich, zatrzymał go wszakże na Syberji, wzbronil pobytu w miastach.

Potrzebując pracy zarobkowej, aby żyć, chętnie przyjął miejsce „przykaczyka”, to jest pomocnika u kupca, a właściwie u kramarza Timofieja Czuchonowa we wsi Jamka. Była to na przestrzeni kilku wiorst rozrzucona wieś, z cerkwią i urzędem gminnym. Wieś od traktów pocztowych i od wszelakich ludzkich sadyb daleka, bardzo ludna i zamożna. Z tej racji kram Timofieja Czuchonowa cieszył się wielkim powodzeniem.

To też obowiązki sprzedawcy w tym kramie nie były wcale synekurą, tem bardziej, że właściciel syberyjski jest nieprawdopodobnie podstępny i przebiegły, a wedle jego przekonań, być oszukany to szczyt niedołęstwa i głupoty, a natomiast kogoś w pole wyprowadzić i wyzyskać to dowód wielkiej mądrości praktycznej.

Biedny Romek, który w „zawodach” nerczyńskich nie dość jeszcze wystudował charakter włóścian syberyjskich, za pierwociny swych czynności kłupieckich kilka razy grube zapłacił „frycowe”... Ale, że był postrzegaczem bystrym, a przytem rachmistrzem doskonałym, a w dodatku ślicznym, sympatycznym chłopcem, który każdego swą ciepłonością przy targach i uprzejmością w spełnianiu zleceń umiał chwycić za serce, wnet zasłynął, jako bardzo zdolny i bardzo obrotny „przykaczyk”.

— Istny „gołubczyk!”—rozpływały się nad nim niewiasty.

— „Niczewo!” „niczewo!”—przytakiwali mężowie jamieccy.

Zwierzchnik Romka, Timofiej Czuchonow, by-

ły katorżnik, mimo to ogromnie był w Jamce szanowany, jako człek bardzo bogaty.

Z jakiego źródła wypłynęły te bogactwa?... i co pomnażało je ciągle? nikt się o to nie dopytywał, ani troszczył, dość, że były.

Raz po raz, to częściej, to rzadziej, Timofiej Czuchonow robił dłuższe lub krótsze wycieczki, na czas swej nieobecności zarząd domu i sklepu powierzając jedynaczce Nanile, bo pani Czuchonowa, zahukana przez córkę i męża, jedynie tylko domowem gospodarstwem zajęta, bynajmniej nie wtrącała się ani do osobistych spraw Nani, a tem mniej do interesów handlowych męża.

Do „przykaczyka” należał też dozór nad czwórka opasłych rysaków, nad „tarantasem” i saniami Czuchonowa. To narażało Romka na ciągłe nieporozumienia z pijakiem „kuczerem”, który rad był owies i siano w „kábaku” wymieniać na gorzałkę.

Słowem, biedny Romek musiał dźwigać na swych barkach całe brzemie uciążliwych i różnorodnych obowiązków, ze wszystkich wszelako najcięższy był obowiązek uczestniczenia w przyjęciach niedzielnych u Czuchonowa. Wczesnym już rankiem otwierano przez cały tydzień szczelnie zamkniętą „gornicę” i wykadzano ją ambrą.

Po nabożeństwie w cerkwi do domu kramarza schodzili się: pop, dyak, „gołowa” wsi, pisarz gminny, „nadziratel akcyzy”, „praporszczyk dymisyonowany, propinator, słowem, wszyscy co przedniejsi z żonami i dziećmi.

Miejsce honorowe na kanapie zajmowali pop i popadya. Przed kanapą, przy dużym, okrągłym stole rozsiadła się starszyzna, gdy młodzież obojga płci sadowi się po kątach, gdzie kto może. Kobiety poubierane cudacznie w jaskrawych kausowych, przeraźliwie szerokich sukniach, rozpiętych na krynolinach olbrzymich. Niewiasty zamężne przybrały się w kokoszniki, różnokolorowe mi paciorkami naszyte, haftowane szychem, jasnowłose dziewczyny w warkoczach swoje dla powiększenia ich grubości powplatwały konopie, brunetki i szatynki na ten sam cel użyły końskiego włosienia.

Dwie służące wnoszą herbatę, słodkie kołaczki i sajki\*) i stawiają to wszystko na okrągłym stole przed kanapą. Każdy z gości bierze filiżankę herbaty i duży kawałek cukru z drewnianej miski, na czerwono pomalowanej, w złociste fioresy zdobnej.

Popijając herbatę, „gołowa” zaczyna gawędę o świeżo popełnionych we wsi kradzieżach i o trudnościach w wykryciu złodziei. Pisarz gminny wzdycha potakując i do utyskiwań „gołowy”, dorzuca sporą wiązkę własnych spostrzeżeń. Akcyznik rzuca podejrzenie, że w jego departamencie dzieją się wprawdzie nadużycia, lecz ma nadzieję wykryć je niedługo, już jest na tropie.

To mówiąc, z ukosa spogląda w stronę propinatora, który spuszcza oczy i energicznie chrząka dla nadania sobie otuchy.

Gawęda, od tak drażliwych tematów rozpozczęta, toczy się bardzo leniwie, rwąc się co chwila, jak nić w ręku niezręcznej prądki... Przy głównym stole słychać tylko pykanie z fajek... z kątów „gornicy” dolatują szepty i przytłumiony chichot młodzieży...

Po wypiciu syberyjską etykietą uświęconej porcji herbaty: trzech filiżanek, każdy gość odwraca swoją filiżankę dnem do góry i kładzie na niej resztę nie dogryzionego kawałka cukru; dziewczki służebne zabierają przybory herbaciane, zmiatają okruszyny sumiennie zjedzonych kołaczy i sajek, poczem wnoszą ogromne stosy ryb i mięsiva, flasze i kieliszki, które gospodarz napełnia czem prędzej.

Goście z początku małymi łykami popijają z kieliszków ulubiony trunk, wychwalając jego zalety niezwykle.

— Ja „w Pietierburgie” w klubie „gwardjejców” nie pijał wódki z taką „smaką” i z takim „amorem”, jak u was, Timofieju Grigorowiczu Czuchonow.

Ja „rosjejskij” człowiek, tak jest, jak wam mówię—z naciskiem twierdzi dymisyonowany „praporszczyk”. Po całym zgromadzeniu toczy wyzywającym wrokiem i czeka, czy kto osmieli się zaprzeczyć. Ale wszyscy potakują mu pochylaniem głowy. Gospodarz pyszni się, jak indor, i wciąż zachęca:

— Pijcie! pijcie, „gaspada!”

Goście coraz prędzej wychylają kieliszki... Zawartość flaszy niknie... „Nadziratiel” i „praporszczyk” biorą instrumenty muzyczne: bałabajkę i gitarę, i wtórują pieśni, przez dyaka zaintonowanej:

Kto żyje,

Ten pije

I—je. I—je...

Ten pije,

Kto żyje...

I tak wciąż: *du capo al fine i al comincio.*

Zrazu całe towarzystwo przytupuje i śpiewa dość zgodnym chórem. Wprędce przecież wyodrębniają się i odłączają pojedyncze głosy... wreszcie każdy pokrzykuje swoim dworem...

Grigorowicz Troszen, bogacz, elegant, lowelas jamiecki, goni biegające po „gornicy” dziewczyny... usiłuje zapędzić je do kąta i tam krzesłami zatarasować, klaszcze w dłonie i woła:

„Tjega! tjega! tjega—a—!” \*\*)

Ścigane wrzeszczą, jakgdyby je kto ze skóry obdzierał... Co chwila któraś odwraca się do Grigorowicza Troszena, pokazuje „figę”, naśladowując ryk krowy:

„Mu! Mu—u! Mu—u—u—u!”

Pośród tej hulaszcznej i ordynarnej hałastry wyróżnia się Nanią Czuchonowówna subtelną urodą i prawdziwie gustownym strojem. Ma na sobie błękitną z chińskiej materyi suknię, suto przybraną białym futerkiem lediagi \*\*\*) na rękach i na szyi turkusy, jasne włosy ma splecione w dwa warkocz grubie, ale bez żadnych sztucznych dodatków. Jest rzeczywiście bardzo w tym stroju powabna. Nie śpiewa, nie bierze udziału w gonitwach dziewcząt, nie odpowiada na komplementy ogniste i zaczepki Grigorowicza Troszena, raz po raz zwraca się do Romka, pogrążonego w smutnej zadumie:

— Nie jecie? nie pijecie?!... Romanie Karłowiczu.

— Dziękuję. Nie głodnym, trunków z zakazu lekarza nie używam—odpowiada Romek—a do zabawy ja, wygnaniec, nie mam ochoty. Nie dziwiecie się...

— Ja się nie dziwię—szepce dziewczyna—tylko mi was żal, Romanie Karłowiczu.

Tymczasem zabawa dochodzi do punktu kulminacyjnego. Już nikt nie śpiewa, nikt nie rozmawia, wszyscy usiłują przekrzyczyć się nawzajem.

„Praporszczyk” jedno w kółko wciąga opowiada o „gwardiejskim klubie w Pietierburgie”, lecz nie może już znaleźć słuchaczów; akcyznik brzdąka na bałabajce i przytupuje. Wrzaski: „Tjega tjega! — mu! mu — u!” krzyżują się z wybuchami bezmyślnego, pijackiego śmiechu.

— Ach, ślicznaż to! śliczna zabawa — wzdycha popadya, a chociaż w lewej ręce trzyma dużą, koronkami obszytą chustkę, palcami prawej uciera nos, a dłońmi łyzy, spływające po tłustych policzkach.

Obok swej roztkliwionej połowicy pop chrapie na kanapie, dyak i „gołowa” drzemią na krzesłach. Gospodarz ujął się pod bok, gładzi brodę, zrzucił aksamitną czapeczkę, którą zawsze na same brwi nasuniętą nosi, aby zakryć piętna katorżnicze na czole, zataczając się chodzi po „gornicy” i, niby echo popady, powtarza:

— Śliczna zabawa! śliczna!

Wtem ukazuje się Emiliaszka, wstrętne dziedzisko, zausznik Czuchonowa i rezydent. On do gornicy przychodzi wtenczas dopiero, kiedy już wszyscy goście uraczyli się do nieprzytomności.

Wsuwa się cichym, kocim krokiem, bije pokłony przed kramarzem i żebrać formułę marmrocze:

— Batuszki, matuszki! sotworitie światuju miłost!... (DN)

\*\*) Tak na Syberji zwolują z pola gęsi.

\*\*) Rodzaj nietoperza.

\*) Bułki z pszennego, bardzo twardo zagniecionego ciasta.

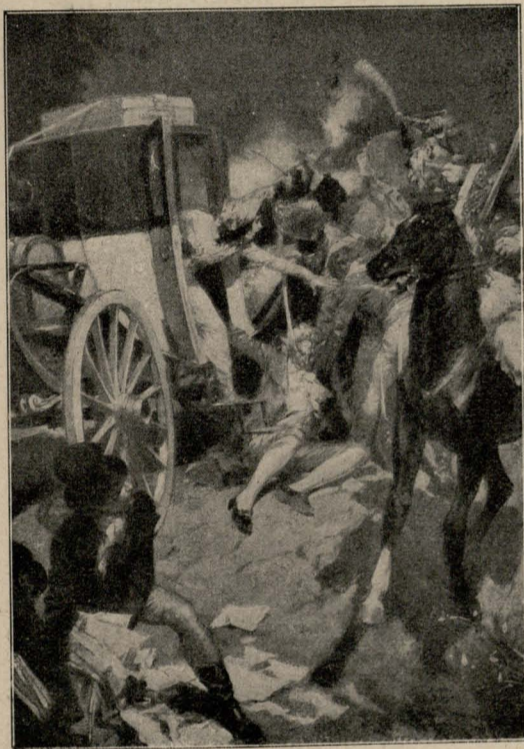


## Pola bitwy dyplomatów.

Dyplomatów? Spokojnych ludzi, którzy piórkem jeno wojują, choć dla parady rożenek przy boku noszą? Tak. A zwą się te pola bitew bezkrwawych kongresami, chociaż nieraz krwawe mają następstwa.

Wojny nie układają stosunków między ludźmi, wprowadzają tylko zamieszanie i gwałcą równowagę. Nie rozstrzygają nawet sporów. Inny sposób, sądy rozjemcze, są dotąd jeszcze muzyką przyszłości. Kongres ma cechy pośrednie między wojną a sądem. Następuje po niej, reguluje powikłane stosunki. Oczywiście, prawie wyłącznie wtedy tylko, kiedy chodzi o słabych. Wojna prusko-austriacka i prusko-francuska nie potrzebowały kongresu: nowe układy międzynarodowe regulowało *sic volo* mocniejszego. I wtedy także, kiedy wchodzi w grę interesy wszystkich mocarstw, kiedy świat znajduje się w przededniu nowych wypadków, likwidując stare.

Pomińmy dawne kongresy z XVI i XVII stulecia. Przypomnijmy kongres w Rastadzie, w kilka dni po pokoju w Campo-Formio (1797), wstawionym słowami Bonapartego, tłukącego kosztowną



Zamordowanie komisarzy francuskich w Rastadzie.

wagę sewrską: „Zgniotę tak waszą monarchię (cesarstwo Habsburgów), jeżeli nie złożycie broni”. Na tym kongresie Austria i Francja, główni zapaśnicy, nie doszli do zgody. Po dwóch latach jałowych układów wojna rozpoczęła się nanowo. Trzej komisarze francuscy, opuszczający miasto, zostali napadnięci przez zbirów w mundurach austriackich. Skradziono im papiery. Dwóch zostało zamordowanych. Kongres miał epilog krwawy.



Wybitniejsze postacie z kongresów historycznych XIX stulecia. 1) Castlereagh (Anglia). 2) Metternich (Austria). 3) Nesselrode (Rosja). 4) Ks. Richelieu (Francja). 5) Chateaubriand (Francja). 6) Mathieu de Montmorency (Francja). 7) Górczakow (Rosja). 8) Lord Beaconsfield (Anglia).

Przypomnijmy jeszcze kongres wiedeński, bezpośrednio już nas dotyczący. I ten miał nie epilog, ale intermezzo tragiczne. Wśród najświetniejszych uroczystości, pokrywających ciche układy pod hasłem „biada zwyciężonym”, ukazuje się wieść Baltazarowa: mocarz z Elby wyładował w Europie. Panika i ucieczka w popłochu, potem koalicja—ostatnia i skuteczna, wreszcie ostateczna likwidacja okresu wojen rewolucyjnych i napoleońskich, założenie podwalin pod dzisiejszy układ terytorjalny Europy.

W trzy lata potem na kongresie w Akwizgranie likwidacji koniec. Francja zapłaciła rachunek za napoleoński okres chwały wojennej. Bogaty kraj zniósł kilkoletnią okupację przez stoipięćdziesiąt tysięcy armii obcych mocarstw, wypłacił blisko 400 milionów indemnizacji. Co to znaczy w porównaniu z tem, co zapłacił w pół wieku przeszło potem! I nie za chwałę, lecz za lekkomyślność i niedołęstwo drugiego cesarza...

Sprawy włoskie i hiszpańskie wywołują niebawem (1822) kongres w Weronie,wołany przez monarchów, tworzących „święte przymierze”. Rej wodził, jak na dwóch poprzednich, głośny książę Metternich. Ten kongres ma zakończenie wojenne. Zebrani dyplomaci oświadczają się przeciw duchowi rewolucyjnemu, który ożywia Korciezy, i powierają Francji przywrócenie w Hiszpanii władzy monarchicznej, w przeciwnym razie bowiem wystąpią do dzieła Prusy, Rosja i Austria. Węć Francja wypowiada wojnę Hiszpanii, w słusznej, opartej na niedawnych wypadkach obawie przed chciwymi sprzymierzeńcami. Zbliżamy się do najważniejszych i najbliższych nam kongresów. Treścią ich jest rozkład Turcji, poprzednikami wojny wschodnie, następstwami powolne wyzwalamie się słowiańskich państw na Bałkanach. Kongres paryski po woj-

nie krymskiej zebrał się w r. 1856 w chwili, kiedy potęga drugiego cesarstwa była u zenitu; uroczystości kongresowe zbiegły się z otwarciem wystawy; przydywał hr. Walewski, syn „pięknej Polki” i więźnia z Świętej Heleny. Morze Czarne ogłoszono za neutralne, Turcja została przyjęta do koncertu mocarstw, spory jej z jakimkolwiek państwem miały być na przyszłość oddawane pod rozstrzygnięcie potencji, które podpisały traktat paryski. Była to porażka dyplomatyczna Rosji—po porażce wojennej pod Sewastopolem.

Czasy zmieniają się... Zmieniają się środki ciężkości życia politycznego Europy. W r. 1878 Prusy zapraszają na kongres—do siebie do Berlina. Rosja jest zwycięska, a przecież straci tu prawie wszystkie owoce swoich zwycięstw dzięki stałemu, bezinteresownemu i przyjacielskiemu pośrednictwu Prus i przewodniczącego kongresu—Bismarcka. Po ćwierć wieku pogromca Napoleona Małego zastąpił jego przedstawiciela.

Księstwo Bułgarskie samodzielne, pod suzerenatem sułtana; Rumelia wschodnia pod władzą sułtana; Bośnia i Hercegowina zajęte przez Austro-Węgry; Serbia i Czarnogóra niezależne—oto wyniki ostatniego kongresu.

Uchwały jego zapewniły trzydzieści lat pokoju Europie. A dziś walą się w gruzy. Wszystkie prawie postanowienia wyłączną wolą interesowanych zostały zniszczone.



Konferencya w Algeiras, na której po raz pierwszy w historii znaleźli się przedstawiciele państwa dalekiego zachodu, cesarstwa Marokańskiego.



U góry i na dole na prawo dwaj główni współzawodnicy na konferencyi: p. Révoil ze swymi sekretarzami, przedstawiciel Francji, oraz pp. Radowitz i Tattenbach, delegaci Niemiec.

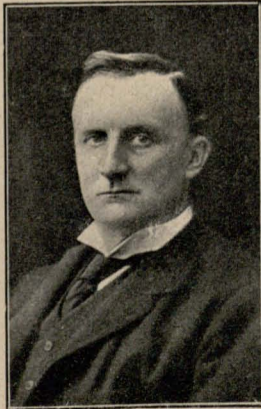
### WSPÓLCZEŚNI MINISTROWIE SPRAW ZAGRANICZNYCH.



Niemcy: Bernard ks. Bülow.



Rosja: p. Izwolskij.



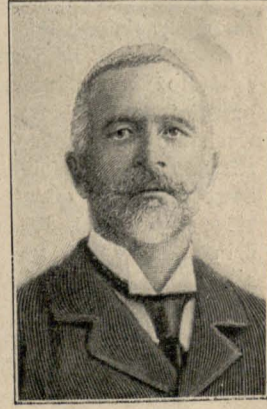
Anglia: sir Edward Grey.



Austria: bar Aehrenthal.



Francja: p. Stefan Pichon.



Włochy: hr. Tittoni.



W DRODZE NA DZIAŁ.



WIDOK NA PARASZKĘ ZE SZCZYTU DZIAŁU.



WIDOK KU PARASZCE Z KORCZANEK.

## WYCIECZKA ZIMOWA.

Z WRAŻEŃ NARCIARZA.

Pociąg odjechał. Na samotnej, górskiej stacji kolejowej zostało nas kilkunastu, uzbrojonych w długie, zakrzywione narty, z ciężkimi workami na plecach. Witaliśmy nas chłodny, ożywczy oddech gór i cicha, mroźna noc zimowa.

Droga wiodła zrazu przez wieś uspioną, powoli chaty stawały się coraz rzadsze, wreszcie wydostaliśmy się na szerokie, zda się, bez końca, śniegiem pokryte pola, których brzegi ujęły w potężne ramy ledwo w cieniach nocy widoczne góry. Noc była bez księżyca, tylko gwiazdy świeciły na bezchmurnym firmamencie.

Nazajutrz, gdyśmy opuszczali schronienie, był świeży, jasny ranek i pogoda bez skazy. Słońce jeszcze nie wzeszło. Przed nami stały w niepokalanej szacie, śniegiem owiane góry, kryjąc stopy swoje w ciemnym pasie lasów; między wzgórzem wrzynała się głęboka i wąska dolina górską, a u jej końca, na jasnym tle nieba, wycierał wysoki stożkowy wierzchołek, główny szczyt najbardziej ku północy wysuniętego wału Karpat wschodnich, cel naszej wycieczki—Paraszka. Szczyt, zdawało się, niedaleki; wprawne oko rozróżniało nawet na cyplu góry znak triangulacyjny—i nikt nie przypuszczał, że tak nań daleko, że siedm godzin minie, zanim go będziemy mieli u stóp naszych.

Przy dwudziestostopniowym mrozie szliśmy szybko po twardej drodze, ciągnąc narty za sobą. Gdyśmy wkraczali w szeroko rozwarte wrota doliny, wschodziło na szczytach słońce. Na nizinach leżał jeszcze cień, tylko wierzchołki gór zaróżowiły się zrazu lekko, ledwie widocznie, potem co-

raz silniej, wreszcie zaczęły płonąć światłem różowym, tak silnym, jakby za chwilę miały buchnąć płomienie i dymy ze szczytów. I szły odbłaski światła w cienie niższe, i zdawało się, że wszystko wokoło pokrywa się lekkim, subtelnym pyłem różowym.

Lecz czar ten trwał krótko. Ognie poczęły blednąć, przygasać... w parę minut był już zwykły piękny dzień, a na szczytach jasne, złote słońce. Gdyśmy doszli do końca doliny, gdzie przechodziła ona w liczne i strome jary, pnące się w górę aż na grzbiety gór—zeszliśmy z udeptanej drogi i, przerzuciwszy się na drugą stronę zamrożonego potoku, zaczęliśmy się wspinać na stoki wzgórz, otaczającego od prawej strony dolinę. Śnieg był teraz głęboki, to też na pierwszej polanie przypięliśmy narty do nóg, a potem rozbiegliśmy się po mało stromym, miejscami gęstym lesie, aby się zebrać razem na grzbiecie góry. Stąd otworzył się daleki i piękny widok wstecz na niziny, leżące u stóp naszych, jak gładka, ośnieżona szyba lodu na ogromnym jeziorze. Trudno było doszukać się nawet siedzib ludzkich, nawet wsi, tak niedawno opuszczonej. Tylko dymy, wznoszące się z kominów i łączące się u góry w jeden wielki kłosz matowy—zdradzały położenie domów i osad.

Dalej wiodła nas droga szerokim, stromym stokiem góry aż na wierzchołek Działu, pierwsze z trzech garbów w grzbiecie, jakie przejść trzeba było przed osiągnięciem celu wycieczki. Przed nami wznosiła się majestatycznie, obecnie niczym już nie zakryta Paraszka: szeroki, biały trójkąt wierzchołka otaczała u spodu wąziutka wstęga drzew, reszta dawnych lasów; niżej aż po dno doliny znaczyły się tylko na białym tle śniegów nagie pnie zrębu.

Ze szczytu Działu pierwszy „zjazd” na nar-

tach na połąkę przełęcz przed następnym garbem. Ale zjazd ten krótki: zaledwie kilkadziesiąt sekund niosą nas w dół chyże narty—i zatrzymujemy się na płaskim siodle u wejścia do lasu. Tu dłuższy odpoczynek. Jak na komendę, zrzucają wszyscy worki z pleców, a ścięte pnie drzew, lub narty, ułożone na śniegu, służą za stoły i fotele. Za chwilę wre już w licznych maszynkach turystycznych ów najcenniejszy i najulubieńszy napój narciarzy, herbata. Wesoło jest i gwarno; las cały napełnia się zgiełkiem i wrzawą, a stare, majestatyczne jodły, szumiące cicho nad nami, jakby ze snu zimowego ocknięte, patrzyły zdumione na śmiałków, co przedarli się aż tu, w niepodzielne panowanie zimy...

Jesteśmy znowu w drodze. Mozolne i długie oczekują nas jeszcze godziny, zanim na szczyt wejdziemy. Przez stromy, odwieczny las przedzieramy się wytrwale w górę, zataczając niezliczone zakosy. Mijamy drugie i trzecie wzniesienie w grzbiecie, nagle las się urywa—i stajemy u jego krańca. Nad nami sam szczyt, od niego do nas jedno wielkie, gładkie, nieprzerwane i nadzwyczaj strome zbocze: najcięższa i najmoźniejsza część drogi. Krocząc „gęsiego” w długim wężu, jeden za drugim, powoli wnosimy się w górę. Śnieg zsuwa się z pod nart... szukamy schronienia wśród ośnieżonych kęp skarłowaciałych sosenek... powoli atoli przechodzimy na zbocza mniej strome, i niespodzianie stajemy w jasnych promieniach słońca, na zdobnej w olbrzymie zawiesy\*) grani... a kilkanaście metrów nad nami najwyższy wierzchołek Paraszki.

\*) Zawiesem, lub nawisem nazywamy wydmy i gzymsy śnieżne, powstałe pod wpływem wiatru i zwisające na graniach gór. Niekiedy dochodzą one do olbrzymich rozmiarów.



SZCZYT PARASZKI.



NA KORCZANKACH.

Stanęliśmy, jak wrzyli, olśnieni i zdumieni pięknnością i potęgą widoku, jaki się przed nami rozciągał. Niebo było przezyste, na niem, stosunkowo nisko, zimowe, chłodne słońce. Brak mu było tej oślepiającej jasności, tego żaru, jaki zsyła w letnie dni, ale to, co się teraz w jego blaskach kąpało, to niezliczone mnóstwo gór i szczytów, rysowało się aż w niezmierną dal widnokręgu z taką wyrazistością i siłą kontrastów, z jaką nigdy, w najpiękniejsze dni nawet, nie widzimy gór w lecie. To, co najwznioślejsze, najbardziej porywające w widoku górskim, to głębokość jego i niezmierna dal, w jaką patrzymy. Zdawało się, że widnokrąg granic nie ma, za tą linią, którąśmy za horyzont przyzwyczajeni byli uważać, dostrzegło zdumione oko dalekie jeszcze, bez krańców niebieskawe łany śniegów, rozrzucone po nich drobne punkty miast i miasteczek... im dalej, wszystko stawało się coraz bardziej niebieskie, ciemniało, aż wreszcie, gdzieś, w niezmiernej dali przelewało się w ciemny błękit zimowego nieba w jedną, nierozdzieloną całość.

Przed nami w najbliższym sąsiedztwie zaczynała się łagodna, falista linia białych wzgórz: to siedm siostr Paraszki, Korczanki, z których pięć przejść musimy, zanim uda się zejść w niziny. Z każdej z nich szybki, lecz krótki zjazd po wchłostanym wiatrem śniegu, na każdą powolne i daleko dłuższe wyjście. Ale szliśmy bez przerwy po wierzchołkach gór, mając otwarty na wsze strony widok. Krótki dzień styczniowy miał się ku końcowi; coraz bardziej zbliżał się jasny krąg słońca do ciemnej grani gór, rysującej się na horyzoncie, a gdy jej dotknął, stała się rzecz dziwna. Jak przy wschodzie słońca, tak i teraz, zapłonęły szczyty silnym, różowym światłem. Wokoło nas były tylko dwie barwy: przepyszny róż śniegów, a na niem seledynowe, jasno-zielone cienie. Było to tak piękne i tak niezwykle zarazem, że zdawało się nam, iż sen to jakiś czarowny, a nie rzeczywistość. I z zapartym oddechem patrzyliśmy wokoło, dopóki nie zgasł ostatni promień słońca.

Przyśpieszyliśmy kroku. Jeszcze jeden tylko szczyt przed nami, a potem ciągły, nieprzerwany niemal zjazd w niziny. Wchodzimy w las, lecz jakż on odmienny od letniego! Olbrzymie niebotyczne jodły, spowite aż po ostatnie gałęzie w powłokę ze śniegu i lodu. U góry śnieg wszystko złączył, tworząc jedno wielkie sklepienie, gdzie-niegdzie tylko oknami światła przedarte. U stóp ich mrok i powaga świątyni.

Noc okryła góry, gdyśmy, stanawszy u końca grzbietu, zaczęli zjeżdżać w dolinę. Ten zjazd, w niepohamowanym pędzie, wśród lasu, zrzębów i polan był niełatwy, ale pełen uroku. Dzika rozkosz ogarnia człowieka, gdy tak pędzi na chyżych nartach wśród cieniów nocy, w nieznaną, tajemniczą dal. Przelatywaliśmy przez wyręby leśne, obszerne, stopą ludzką nie dotknięte polany śnieżne, potem wiodła nas droga grzbietem górskim

na skraju lasu, aż wreszcie niżej napotkaliśmy pierwsze ślady ludzi. Wkrótce potem zdjęliśmy narty i, przewiesiwszy je przez barki, zaczęliśmy szybko zbiegać w dolinę. Stroma droga sprowadziła nas po nagim grzbiecie na dno doliny i tam otoczył nas wspaniały, odwieczny las sosnowy. Dziwnie uroczyste wrażenie wywierała ta cicha, zaśnieżona puszcza leśna; szliśmy w milczeniu, nie chcąc mącić mroku. Lecz nagle droga stała się szerszą, za zakrętem zabłysły jasne światła lamp elektrycznych, i doszedł nas gwar ludzkiej osady. Urok dziewiczej przyrody znikł bezpowrotnie...

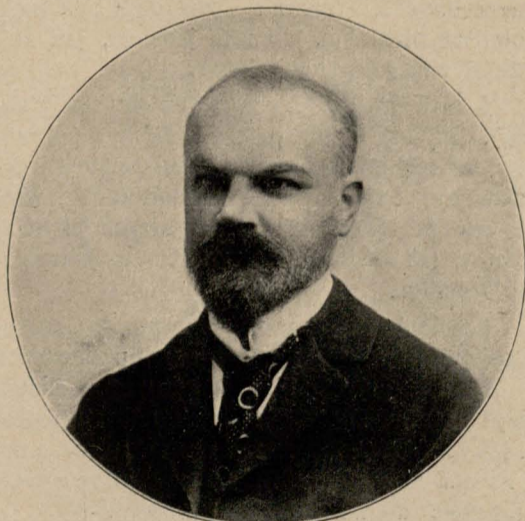
W pół godziny później unosił nas pociąg z powrotem do miasta...

R. SELLA.

Lwów w marcu 1909.

## LEKARZ-OBYWATEL.

Umarł wielki człowiek. To znaczy człowiek, który, gdyby żył i działał w innym społeczeństwie, niż polskie, to rozgłosem nazwiska jego brzmiałoby świat cały; z jednej z najpierwszych katedr



TEODOR DUNIN.

nauczałby tysiące ludzi, roznoszących potem na wsze strony chwałę mistrza i ulgę cierpiącym.

Teodor Dunin był fenomenalnym nauczycielem. W naszych ciężkich warunkach, bez katedry, bez wszystkich pomocy uniwersyteckich, wykształcił z pośród swoich asystentów setki lekarzy, z których wielu spotkało potem w życiu wybitne i zasłużone powodzenie. Wiedzieli, komu je zawdzięczali. Owocem hołdu tych, którym dane było najdłużej przy boku wielkiego lekarza pracować, garstki najwybitniejszych uczniów, była księga pamiątkowa, wydana dla uczczenia ćwierćwiecza pracy zmarłego.

Olbrzymia wiedza, nigdy nie zaspokojona badawcza ciekawość, niezmiernie oczytanie, umysł jasny, przenikliwy i lotny—oto inne cechy tego niezwykle człowieka. Czasy, kiedy on był prezesem Towarzystwa Lekarskiego, odpowiadały okresowi najżywszej pracy na posiedzeniach tej instytucji. Bo zmarły do każdego zagadnienia wnosił masę oryginalnych, trafnych i nowych spostrzeżeń, które ożywiały rozprawy i utrzymywały je na bardzo wysokim poziomie naukowym. Wiedział i znał się niemal na wszystkim.

Był człowiekiem pracy niezmordowanej. Nie znał prawie spoczynku. Każdy wie, czym jest życie wziętego lekarza: ciężkimi robotami, w złotą zasłonę spowitemi. A przecież dr. Dunin, poza rozległą praktyką, miał czas na nieustanną pracę naukową, na ogłaszanie dziesiątków dzieł, a niektóre z nich, jak rzecz o „zakażeniu wtórnem w tyfusie brzuszny”, rozniosły nazwisko jego po świecie i ustaliły nowy termin naukowy.

Ś. p. Teodor Dunin, ur. w r. 1854 w Wyganowie, pochodził z ziemi krakowskiej, niegdyś ojcowizny starej rodziny z XIII wieku, z której się wywodził. Po ukończeniu gimnazjum w Pińczowie i uniwersytetu w Warszawie pracował przy d-rze Lewickim, potem w pracowni d-ra Włodzimierza Brodowskiego, wreszcie został w r. 1880-ym ordynatorem szpitala Dzieciątka Jezus. Nie posiadając pracowni, ufundował ją kosztem własnym, z początku w odgradzonej parawanikiem części sali. Praktyka rozwijała mu się powoli. Bezinteresowność, niepospolita prawość charakteru cechowały zawsze jego pracę zawodową.

Kiedy cierpienie, któremu uległ, przybrało takie rozmiary, że musiał poddać się operacji, zwrócono mu uwagę, że powinien być to uczynić przed dwoma laty, kiedy spostrzegł pierwsze oznaki choroby nieubłaganej. „Kto może mi zaręczyć, żebym wówczas operację wytrzymał?—odpowiedział Dunin. — A nie doprowadziłbym do końca urządzenia sanatorium w Rudce”.

Wymieniliśmy największe dzieło jego życia. Na grobie znakomitego lekarza znajdują się setki wieńców; podniosłe mowy sławić będą jego zasługi; w bibliotekach z rąk do rąk podawać sobie będą jego dzieła. Zwiędną wieńce, ulotnią się w przestrzeń słowa, dzieła jego będą udziałem tylko specjalistów. Ale nie zaginie pamięć lekarza-obywatela w sercach setek i tysięcy chorych, cierpiących na straszną chorobę gruźlicy, którzy z Rudki powracają będą z ulgą, imię Dunina błogosławiąc. To sanatorium, w którym tkwi lwia część jego własnych ofiar—a resztę składano tylko jako wyraz zaufania i uznania dla jego osoby i jego działalności—ten zakład, urządony według najnowszych wymagań sztuki lekarskiej, nie ustępujący w niczem wszystkim, a przewyższający niektóre podobne zagraniczne, to istotnie trwalszy od spiżu pomnik, który wystawił sobie sam i który imię jego zapisuje wśród wielkich Narodu.

# W rysztołu.

GARŚĆ UWAG O LITERATURZE BRUKOWEJ.

„Tajemnicze przygody ajenta śledczego!” „Hrabina zbrodniarka, czyli szatani miłości!” „Pamiętniki kata paryskiego!” „Lidya, czyli córka hrabiny żebraczki!” „40 razy żonaty, czyli niewinne ofiary miłości!”

Na placach publicznych, na każdym rogu ulicy obskakuje cię, spokojny i stateczny oby-



Niech pan kupi! Jeszcze dziś nic nie jadłem!...

watelu, zgraja małych oberwańców, ochryplym, wrzaskliwym głosem zachwalając swój towar.

Dzieci ulicy, dzieci nędzy wielkomięskiej. Nie dorozwinięci fizycznie, przedwcześnie dojrzali duchowo, pędzą swe dzieciństwo nie-sielskie, nie-anielskie na obydnym handlu rozpustą drukowanego słowa.

„Prostytucja hrabiny... na ulicy...!” „Noc poślubna artystki operetki, pani...!” „Tajemnice akuszerki!” „Niech pan kupi, bardzo ciekawe! Jeszcze dziś nic nie jadłem!...”

Natrętnie, drapieźnie, to znowu pokornie i błagalnie, to napastując, to żebrząc, mali cynicy obnoszą po mieście owo wiadomości złego i dobrego, przyszłe pokolenie „bandytów” i „alfonsów”.

Idą w świat świstki nędznej bibuły, pisane szkaradną polszczyzną, o treści...

Ach! o treści wymownie świadczy okładka. Dość spojrzeć na nią, by mróz przeszedł po kościach błogich posiadaniem.

*Beati possidentes!*

Niech drżą p r z e k l ę t y m

ochraniaczom ich dobra, „łapaczom”, „szpiclom”, „salcesonom”, czy jak zwać tych genialnych detektywów (oczywiście, szlachetnie bezinteresownych!), którym w sławie wszechświatowej nikt nie dorównał: ni Newton, ni Kopernik, ni Dante, ni Mickiewicz, ni Napoleon, ni Kościuszko! Chwała wam! Od sypialni „bla-

dej hrabiny” do suteryn, „barłogów zbrodni”, na wszystkich ustach wasze imię!

Bądźcie spokojni i cichego serca! Zaden wódz, zwycięzca w dziesiątkach bitew, otoczony szumnymi sztandary i radosnymi okrzyki wojennego ludu, żaden uczonec, co nad księgami wiek cały się garbi, żaden artysta, z głową pełną natchnień, nie przyjdzie wydrzeć wam panowania nad światem.

I chyba zjawi się rywal srogi—w postaci sympatycznego „włamywacza-salonowca”, a wtedy—kto wie, czy nie przyjdzie wam władzę dzielić się na poły?...

Najbujniejsza wyobraźnia hyper-supra-non-plus-ultra-romantyczna nie wymyśli tylu okropieństw, ile ich znalazło się na okładkach tych piśmideł, istnych zakał drukowanego słowa. Wymyślne tortury, potworne widma, szkielety w trefnych podrygach, poćwiartowane kadłuby, toczące się głowy, żywcem krzyżowane, na wolnym ogniu smażone ofiary—oto garsteczka małeńka tych niewonnych kwiatów, na śmietniku piśmienia, czym uszczkniętych.

Wije się w mękach duszyc a nędznaczytelnika, jak owad na szpilce, przypiekany nad świecą, ale w końcu—doznaje rozkoszy. Albowiem żywie sprawiedliwość, czarna zbrodnia zapada w otchłań piekielną, a cnota jaśnieje, jak najczyściej wyblachowane płótno...

A nowoczesny „rycerz bez strachu i zarzutu”, „słynny ajent śledczy”, zabity i pogrzebiony, rzeźby można, pokrajany, osolony i zapiekłowany, cudem wstaje z martwych i ukazuje się przerażonym oczom swych prześladowców, jak bóg zemsty, jak straszny wystanec Temidy...

Kamieniczniki, kupce i inne opasłe „burżuje”, śpijcie snem niewiniątek w łóżach puchowych.

Nadto już, nadto, doprawdy, rozpanoszył się u nas gość natrętny, literatura brukowa. Jak tchórz swym... zapachem wypląsa z cudzych nor ich właścicieli, tak ona gotowa zabić w nas chęć do wszelkiej uczciwszej lektury. Kto? jacy oprawcy? gdzie? w jakich wertepach—rodzą na świat te wrzaskliwe bękarty piśmiennictwa? Autorowie, a często i wydawcy, przezornie kryją swe nazwiska. W tym akcie kupna-sprzedaży—wbrew wszelkim zasadom kodeksowym—jest jedna tylko osoba prawna: nabywca. Ale za to tych nabywców—legion. Kiedy niedawno jakiś urwisz z pod ciemnej gwiazdy w rozrzuconym po ulicach Warszawy świstku cisnął pecyną błota w zasłużonego pisarza, we wszystkich kawiarniach, biurach, kantorach, sklepach, salonikach mieszczkańskich o niczym innym nie mó-



Przyszły bandyta.

wiono—przez 24 godziny. Pomysłowy dławigrosz (bo wydawał grosze od łatwowiernych) zarobił sobie na sławę Herostrata—jednodniową, nie mówiąc o innych, widomszych zarobkach.

Zapomniano o was, cne Magellony, „królewny neapolitański”, odeszłyście w cień, Meluzyny sławne, wy, któreście bawiły i wzruszały tyle pokoleń ojców naszych, niemal od wynalezienia druku. Poszedł za wami i czciogodny Ali-Baba, tak dzielnie zachowujący całość swej skóry, mimo niecných zakusów aż 40 rozbójników, i przezacny Aladyn ze swą lampą cudowną i poczciwy Rinaldo-Rinaldini, dziś już nikomu nie straszny...

Naiwna, śmieszna, nędzna była ta literatura kramikowa, ale—obok wszystkich zmyśleń potwornych—była w niej odrobina poezji, w najgrubszej formie podana, „łyżka miodu a beczka dziegciu”, jak mówią nasi wschodni sąsiedzi. Wobec dzisiejszych bezceństw drukowanych wszystkie te „cudowne historie” to dziecinna igraszka. Takiego rozpasania drukowanego słowa chyba nigdy jeszcze w Polsce nie było.

A gdzie podzieje się tymczasem kultura umysłowa? potrzeby estetyczne? poziom moralny czytelnictwa?

Co powiedzieć o młodzieży, która zaczytuje się plugawymi bredniami, niewiele zapewne ciągnąc z nich pożytku duchowego?

A co pomyśleć o szerokich warstwach czytelniczych, które, wczoraj zaledwie posiadły klucz do wszelkiej mądrości—umiejętność czytania, dziś dobierają się z tym kluczem... do szafki z truciznami, nie bacząc na pięknie na niej wymalowane piszczele na krzyż z trupią główką pośrodku?

Ot, ostatnio—14-letnia dziewczyna, naczytawszy się piśmideł kryminalnych, zamordowała swą złą opiekunkę. Straszne owoc!...

Więc cóż? Chwytać po ulicach rozwrzeszczanych *gawroche'ów* i karać więzieniem za to, że nie stało dla nich miejsca w szkole? ustanowić jakąś nową—społeczną, czy narodową cenzurę? Wszystkie te środki policyjne są i niedostępne dla nas, i niemoralne. W tym kierunku nic zrobić nie możemy—i nie zrobimy.

Powtarzamy: w tej sprawie jest jedna tylko strona—nabywca. Niech jego nie stanie, i wydawnictwa zapadną się pod ziemię. „Taki wieszcz, jaki słuchacz”. Takie ma naród piśmiennictwo, jakiego potrzebuje.

Światła, więcej światła! A przebrzydłe gacki i posępne puhaćki znikną, rażone jego blaskiem, pokryją się po norach i dziuplach.

Jeden tylko znamy egzorcyzm, jedno „tabu” tajemnicze na nasz dorobek umysłowy: tem zaklęciem potężnym jest oświata.

Ona jedna władna jest wykrzyknąć groźne, nakazujące:

— A kysz! a kysz!



Niema nic rozkoszniejszego nad zajmującą lekturę.



## ŚPIEWAK WIOSKOWY.\*)

KAZIMIERZ LASKOWSKI (EL).

Na wsi przyszedł na świat Kazimierz Laskowski, tam spędził najpiękniejsze lata swego życia i zrosł się z tą ziemią czarną, do której nieraz, chłopięciem jeszcze, ucho przykładał i słuchał, jak gada.

Żyje w nim i tradycja owego szlachcica-gawędziarza, co „fest” każdy sąsiedzki oracyą grzeczną i rytmem słodko-brzmiącym uświetniał; żyje w nim i dusza tego Maćka-rezoluta,



co i w tanku przyspiewać potrafi, i pod okienkiem Kasi rzewną piosenkę po rosie zanucić. Słusznie więc o sobie powiada:

Będzie mi może kiedyś policzone,  
Żem nigdy w obcą nie poglądał stronę,  
Lecz zawsze trwałem temu słońcu blizki,  
Co mi w łzach matki błysło u kotycki,  
Że mi najdroższe wydzwaniały echa:  
Próg mój ojczysty i wieśniacza strzecha,  
I że dla świata, co był moim światem,  
Pragnąłem zostać i czułem się bratem...

Toć i żyje wieś w jego piosenkach nieuczonych, a z pod serca, pohukuje i przytupuje dziarski parobczak, i dziewczyna-jagoda rozsnuwa swe żale, niby długą nić babiego lata. Wsłuchaj się dobrze, a rozeznasz i żałościwe zawodzenie skrzypic, i basów pomruki gniewne, i ligawki pastuszej o świecie dalekie granie, i poszepty boru, i dzwonek dźwięki, i strumyka kryształowe tony, i ciepły powiew wietrzyka nad woniejącą tęgim, chlebnym zapachem niwą kwitnącego żyta...

\*) Z powodu „Wyboru poezyi” z przedmową K. Tetmajera, (Warszawa, 1909), 6 tomów.

Toć i nie dziwota,  
że piosnka sama się składa...

Samó w piersiach  
coś gada,  
Samó w duszę naleci,  
Samó w sercu  
narośnie...  
Samó w tobie  
zasiędzie,  
Samó myśli rozmarzy,  
Samó echem  
oprzędzie,  
Samó zagra, zagwarzy,  
Samó wzniesie do  
nieba,  
Roje wspomnień  
poruszy...

Pogodna i bez troski jest nuta fujarki elowej—samym radosnym uroczystościom towarzyszy. I przesuwają się przed naszymi oczami rozedrgane pełnią światła, jaskrawością spódnic dziewczuszyń, pogwarem i po-brzękiem zbiorowiska ludzkiego obrazy tych zmówin, zręków, oczepin, chrzcin, okrężnych... Czasem piosnka dźwiękiem zadzwoni tęsknoty, kiedy „na Saksy” za narodem pójdzie, któremu za ciasno wśród domowych pieleszy.

Natura nie poskąpiła mu dźwięcznego wiersza i łatwości rymowania; i to również posiada wśród swych darów, co nas najbardziej do onych „lirników ukraińskich” i „śpiewaków litewskich” i „mazowieckich” i „podolskich” pociąga: szczerłość i bezpośredniość natchnienia. Lirykiem jest wybitnym, chociaż i w eposu lirę heroiczną uderza, składając, dość zręcznie, dalszy ciąg „Pana Tadeusza”.

Przyznać należy; że Laskowski ze swoją szczerością i prostotą uczuć, ze swą brawurą junacką „od komina do komina”, ze swym sentymentalizmem sielskim, jak w tej piosence o dziewczynie, co „oczki zapłakała, rączki załamała”, ze swym opanowaniem techniki wiersza, który sam mu się podaje pod rękę, ze swą, pomimo to, prostotą środków artystycznych, jest, w swoim rodzaju i zakresie, twórcą niepośledniego waloru.

## MAJ KONAJĄCY.

Z WYBORU POEZJI.

Stańto słońko w blasków bieli,  
Zielony zadrzał gaj!  
Omyty w rannych ros kąpieli,  
Legł na liliowych bzów pościeli  
Maj,

Konający maj!  
Spoczął, złożywszy pierś młodzieńczą  
Na kiściach zwiędłych bzów,  
Żegnając życie z marzeń tęczą,  
Z widmem nikanących za przełęczą  
Snów,

Niewyśnionych snów,  
Konał... Marzące podniósł oczy,  
Miłosny nucąc śpiew!  
Z widzeniem rajskich wzgórz, rozłoczy,  
Objętych w złoty splot warkoczy  
Dziew,

Najpiękniejszych dziew!  
Odchodzącemu w twarz o zgonie  
Młodzieńczy zajął raj!  
Uśmiech krzepnące rozgrzał skronie,  
Spojrzał... I skonał z szczęściem w łonie  
Maj,

Niepowrotny maj!  
Wyjrzało słońce w blasków bieli,  
Zagrała zieleń wzgórz!  
Dziewczyno, pytasz: co nas dzieli?  
Maj na śmiertelnej legł pościeli  
Już,  
Skonał, skonał już!

Skonała młodość z skrą zachwyty,  
Prysnęła bańka złud.  
Maj z wiosną wróci znów z błękitu,  
Lecz chwil minionych z fal niebytu  
Cud,  
Sam nie wskrzesi cud!

K. LASKOWSKI (EL).

## L I S T Y.

Był czas, kiedy ludzie pisywali do siebie listy długie, piękne, pełne głębokich zwierzeń i myśli niecodziennych. W ten sposób powstawały bogate zbiory korespondencji, które dziś, po latach wielu, mają niejednokrotnie znaczenie poważne, jako materyał historyczny w najszerszym znaczeniu, w listach bowiem takich, jak w zwierciadle, odbijała się epoka, jej zwyczaje, obyczaje, dążenia, kultura duchowa i umysłowa całych pokoleń.

Pominąwszy korespondencje ludzi wybitnych, przeważnie ogłaszane w następstwie drukiem, jak listy Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, ileż ciekawych szczegółów, cennych drobiazgów, miłych wspomnień znajdujemy nieraz w wiązce starych listów, wydobytych z jakiejś szkatułki, a przechowywanych w rodzinie, jako pamiątka po dawno zmarłych drogich osobach. Niebieskawy-szary papier, spłowiata wstążka, którą misternie owiązała paczkę ręka babki lub prababki, kilka zwiędłych, zblakłych już zupełnie listków różanych, które zbłąkały się tutaj, jako szczątki szczęśliwych dni, przeżywanych niegdyś przez naszych blizkich—mówią nam czasami nadzwyczajne rzeczy. Pożółkłe litery nabierają w oczach naszych życia—i, odczytując je, obcujemy z całym światem myśli i uczuć, jakie pióro przekazało niegdyś trwałszemu nad istnienie ludzkie papierowi.

I jak pięknie pisane są nieraz owe listy, będące rozmową dwóch dusz, związanych węzłem miłości lub przyjaźni, oddanych sobie, wiernych, idących wspólnym szlakiem ku wspólnemu ideałowi.

Takiej korespondencji obecne czasy już nie zostawiają po sobie. Listów przyjacielskich, obszernych, wypełnionych zwierzeniami, nie pisze prawie nikt. List w interesie, krótki, urwany niemal zaraz na wstępie, i pocztówka z widokiem, obok którego widnieją dwa, trzy słowa pozdrowienia—oto wszystko, co otrzymują po nas nasi następcy.

Dlaczego?

Oczywiście, przedewszystkiem dlatego, że tempo naszego życia współczesnego jest tak szybkie, że nie mamy już czasu na zwierzenia. Mężczyźni przestali oddawna prowadzić korespondencję przyjacielską i, poza listami miłosnymi, których każdy ma za sobą lub przy sobie pewną ilość, innych listów nie pisują. Podobnie zaczynają postępować obecnie i kobiety, zaniedbując coraz bardziej „sztukę” pisania listów.

Rzadko która potrafi już dzisiaj pisać tak płynnie, potoczyście, a zarazem prosto i wdzięcznie, jak pisały ich matki i babki, które w korespondencję swoją kładły duszę i serce, a nieraz wprost niepospolity talent literacki, zmuszając je do obszernego wypowiedziania się i do szukania formy artystycznej dla swoich myśli. Te zaś, które i dzisiaj posiadają „potrzebę wypisania się”, dążą do jej zaspokojenia na zupełnie innej drodze. Nie nęci ich już i nie pociąga rola przyjaciółek-inspirotek, rola owych dobrych duchów opiekuńczych, towarzyszących myślą czynom i zamiarom męskim, zbyt szczupłe wydają im się ramy zwyczajnego listu. Pociąga je natomiast ku sobie coraz silniej literatura. Zastępy kobiet piszących zwiększają się nieustannie, ilość opowiadań, nowel i powieści, które wychodzą z pod piór kobiecych, rośnie szybko i zatrwająco, nie dlatego, żeby dla kobiet nie było pola w obszernych dziedzinach literatury, ale że utwory ich w ogromnej większości wypadków nie posiadają znamion twórczości artystycznej, ale są tylko owocami owej potrzeby „wypisania się”. I kto wie, czy nie był lepszy i dla literatury, i dla samych kobiet dawny, a zaniedbany już dzisiaj zwyczaj prowadzenia obszernej, odbijającej w sobie życie duchowe epoki, korespondencji rodzinnej i przyjacielskiej. Z. D.

## NA KOLONIE LETNIE.



Żywe obrazy w Filharmonii, dnia 15 b. m., układu artysty-malarza, Henryka Piątkowskiego.



„Journal parlé” w Kaliszu.

## PRZEGLĄD PRASY.

Na czele ostatniego zeszytu wzorowo redagowanej *Biblioteki Warszawskiej* znajdujemy ciekawy artykuł prof. Szymona Askenazego, omawiający na podstawie urzędowych dokumentów aktualną dziś sprawę utworzenia gubernii chełmskiej. Pierwsza myśl wyodrębnienia Chełmszczyzny „w celu przeciwdziałania spolszczeniu zamieszkującej ją ludności rosyjskiej”, powstała w roku 1865 z inicjatywy ks. Czerkasskiego, członka ówczesnego Komitetu Urządzącego; projekt ten wszakże nie zyskał aprobaty namiestnika hr. Berga i został narazie uchylony. Wznawiany następnie w latach 1875 i 1889 z pobudek religijno-politycznych przez miejscowe duchowieństwo prawosławne, stale spotykał się z wręcz przeciwną opinią władz wyższych, między innymi nawet generał-gubernatora Hurki. Dopiero za czasów hr. Szuwałowa, długoletniego przedtem ambasadora rosyjskiego w Berlinie, wypracowano w roku 1895 obszerny referat o wyłączeniu z granic Królestwa osobnej gubernii chełmskiej. Hr. Szuwałow jeden tylko z pośród gen.-gubernatorów warszawskich uważał utworzenie gubernii chełmskiej za nieodzowny środek do zabezpieczenia „starodawnej ludności rosyjskiej na Rusi chełmskiej” od niechybnej w przeciwnym razie groźby „spolszczenia, a nawet fanatycz-

nego oddania się katolicyzmowi i polskości”. Wszakże następca hr. Szuwałowa, ks. Imeretyński, w odezwie swej z 1897 roku do ministra spraw wewnętrznych wyłożył odmienne swe poglądy, twierdząc, że ten projekt byłby początkiem rozbioru Królestwa Polskiego i byłby podobny do wynaradawiającej polityki pruskiej w Poznańskiem. Ale sprawa ta miała cudowną moc odradzania się, jak Feniks, z popiołów. Po śmierci ks. Imeretyńskiego wznowił ją gubernator lubelski, Tchorzewskij. Wreszcie w kwietniu 1902 roku postanowiono zwołać specjalną naradę w sprawie utworzenia gubernii chełmskiej, pod przewodnictwem Pobiedonoscewa i przy udziale gen.-gubernatora Czertkowa i ministrów: Wittego, Sipiagina, Kuropatkina i Murawiewa. Narada ostatecznie doszła do wniosku, że „utworzenie gubernii chełmskiej, bez zastosowania do jej ludności rzeczywistych środków ruszczenia, nie osiągnęłoby wytkniętego celu, a ponieważ zastosowanie tych środków przy położeniu tegoczesnem okazuje się niemożliwem, zatem i utworzenie z Zabuża rosyjskiego oddzielnej gubernii obecnie odbyć się nie może.” Wniosek powyższy uzyskał sankcję Najwyższą. Podjęte w roku 1905 ponowne starania w celu wyodrębnienia Chełmszczyzny, pomimo stanowczego protestu generał-gubernatorów Maksymowicza i Skałona, doprowadziły wreszcie do powzięcia przez radę ministrów w dniu 26 stycznia r. b. ostatecznego wniosku, mającego być przedstawionym Dumie, dla rozważenia i zdecydowania. Sprawa wyodrębnienia Chełmszczyzny posiada głębsze znaczenie polityczne. Naruszenie całości terytorialnej Królestwa stanowiłoby ważny prejudykat w kwestyi dalszego okrojania, a nawet podziału kraju na korzyść najbliższych sąsiadów, to jest Prus. Jest rzeczą wielce charakterystyczną, że za projektem utworzenia gubernii chełmskiej, wbrew zgodnej opinii wszystkich gen.-gubernatorów warszawskich i wielu działaczy państwowych w Petersburgu, oświadczyli się jedynie oberprokurator św. Synodu Pobiedonoscew i hr. Szuwałow, były ambasador ber-

liński i swego czasu *persona gratissima* w Berlinie. Trudy ich w tej sprawie kto wie czy się nie okażą w przyszłości mimowolną robotą *pour le roi de Prusse*.

## Z pod pióra.

LUCYAN RYDEL.

Znakomity autor „Zaczarowanego koła” udziela nam wyczerpujących informacji.

— Obecnie zajęty jestem pisaniem obszernej „Podróży do Grecji”, w której mam zamiar dać całokształt cywilizacji greckiej do końca IV w. przed Chr. Obrabiał formę dziennika podróży, odbytej istotnie przed półtora rokiem, aby w ten sposób umożliwić sobie przeplatanie ustępów o bardziej naukowej treści wrażeniami osobistymi, krajobrazem, anegdotą, wspomnieniami historycznymi. Rozmowy z towarzyszącymi podróży pozwalają mi w lekkiej, dyalogowej formie poruszać kwestye sporne pod względem naukowym. Myty greckie, albo wspomnienia historyczne, przywiązane do miejsc i budowli, dają mi sposobność nieustanną do cytowania ustępów z poetów i historyków greckich, i to albo w doskonałych przekładach cudzych, lub też, w razie gdyby nie było przekładów dość pięknych, w tłumaczeniu własnem.

— Chcąc jeszcze bardziej czytelnikowi ożywić i uplastyczyć ten obraz, wtrącam, co kilka rozdziałów, opowieść nowelistyczną, osnutą, o ile można, na tle autentycznej anegdoty i dającą niejako przekrój życia w pewnym cywilizacyjnym momencie. Tak np. po opisie ruin Olimpij i dawnego jej stanu daję opowiadanie, osnute na tle igrzysk olimpijskich w V w.; po opisie Delf daję opowiadanie, przedstawiające pobyt Aleksandra W. w Delfach i słynne jego wymuszenie na Pytyi pomysłnych wyroczni. Opowieści takich ma iść 12 na 36 rozdziałów. Obecnie pracuję nad nią już półtora roku i mam blisko 1/3 książki gotową.

— W związku z pobylem moim w Grecji — a zwłaszcza w Azyi Mniejszej — jest druga niemniejsza praca, prowadzona wprawdzie już od lat kilkunastu, ale teraz postępująca znacznie przyspieszonym tempem: przekład „Iliady”. Czytelnicy *Tygodnika* mieli niegdyś sposobność zapoznać się z pieśnią I. Od tego czasu ogłosiłem w różnych piśmiech literackich szereg dalszych pieśni, ale do końca jest jeszcze daleko. W przekładzie tym bowiem uwzględnić muszę najnowsze wyniki badań filologicznych nad Homerem, niemniej jak archeologię homerycką, dostarczającą coraz nowych wyjaśnień. Pobyt w Troi Schumann, a w Hiszpanii małoazyjskim, naoczne oględziny ruin i miejscowości samej, niemniej jak zapoznanie się naocznie z wykopaliskami z tej epoki w muzeach greckich, bardzo mi ułatwiły zadanie.

— W tym celu nie ograniczam się do dzisiejszego języka polskiego; czerpię z wszystkich narzeczy ludowych, równie jak z pisarzy XVI i XVII w., a ponieważ sięgam i do zabytków polszczyzny z XV w., ogłoszonych przez Brücknera. W ten sposób jedynie można oddać po polsku całe bogactwo i całą pierwotną surowość homeryckiego języka.

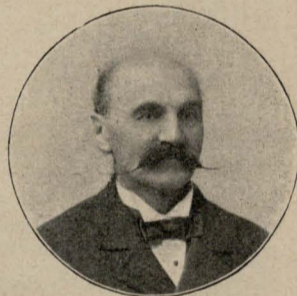
— Dla wypoczynku po tych obu pracach piszę także popularną książkę o królowej Jadwidze

na zamówienie poznańskiego nakładcy, z myślą, że społeczeństwu tamtejszemu, pod uciskiem ustaw wyjątkowych, przed oczy stanie najpiękniejszy w naszych dziejach pierwowzór ofiary, poświęcenia się i zaparcia siebie. Spodziewam się, że książka wyjdzie będzie mogła na jesień.

Życzymy najserdeczniej autorowi „Betleem polskiego”, by wszystkie te piękne pomysły wykonał i zubożył nimi skarbiec naszej kultury literackiej.

GAMMA.

## ZMARLI.



LUDWIK RZĄDKA, artysta baletu warszawskiego, zmarł w 78 roku życia. Zmarły był prawdziwym artystą choreograficznym a przytem „zaczynnym i dobrym człowiekiem.”

## OD ADMINISTRACYI.

Z powodu nadspodziewanie licznych zażądań dzieł dla prenumeratorów „Tygodnika” znizonych i w skutek tego wyczerpania pewnych tomów, zmuszeni jesteśmy dzieła wy-czerpane zastąpić innemi, o czym Szanownych Prenumeratorów niniejszem zawiadamiamy.

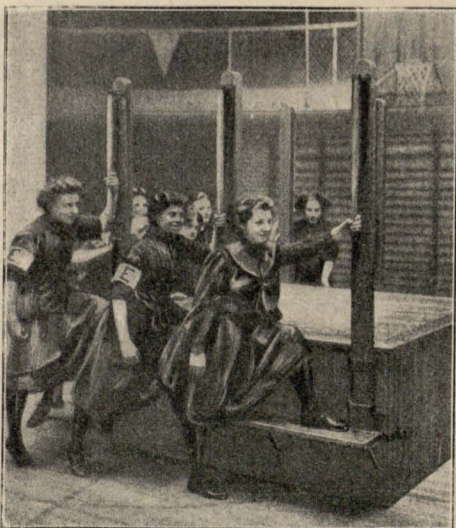
## REKLAMY

MEBLE STYLOWE Maksymilian KALMUS  
Marszałkowska 141, Tel. 28-87. Firma egz. od r. 1884.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.  
„ENGLISH CLOTHING HOUSE.”

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTEGI WOLI”, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

KSIEGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO  
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,  
przeszła na własność  
GEBETHNERA i WOLFFA.



Jak dziewczynki uczą się wyskakiwać z tramwajów elektrycznych w Stanach Zjednoczonych.



Siedziąta boczkim postać ludzka wysuszona.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

# UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

12)

Zastrzega się prawo przedruku.

Rokszycy uwolnił się nareszcie od pań i chyłkiem wyniósł się do swego pokoju, unikając kompanii, raczącej się jeszcze winem przy kartach, a zwłaszcza młodych Zastawskich. Choć nie czuł się wcale sennym, odnalazł z radością swój pokój samotny.

Wrażenia dwóch dni ostatnich porządkował w rozpalonej głowie i nie mógł trafić do ładu. Od przyjazdu na Litwę aż do dnia przedwczorajszego układało mu się wszystko dobrze, nawet nadspodziewanie: studia praktyczne, poznanie kraju i ludzi. Len litewski był dobry, kraj piękniejszy, ludzie godniejsi szacunku, niż mniemał. Ale tu, w Rarogach, spotkał naraz szereg zagadek, politycznych i towarzyskich, a na uwiecznienie tę jedną: co porabia w tych murach ta przedziwna pani Krystyna?

Zamknął oczy i zobaczył ją żywą, stojącą za muzykiem, na tle kotary, tak szlachetną w postawie, tak wymowną w oczach...

— O czym ja ostatecznie myślę?—strofował się.—O jej kształcie. Więcej nad to,

że wygląda, jak zaklęta królowna, nie wiem. To, co o niej słyszałem, że dzika, dziwaczna, miesza tylko o niej pojęcia. Są to wyrazy zadziwienia, które sprawia na ludziach normalnych... Ach! ci ludzie normalni w Rarogach! Wolę do nich nie należeć. — — — Chmarowie dziwna rasa: jeden nie udał się, drugi—ojciec ojczyzny. — — —

— — — Że ona ślicznie słucha muzyki, to jeszcze nie racya, abym się zakochał w niej przez same oczy, bez słów, jak Słowacki w Szwajcaryi, jak Romeo... Właśnie dlatego przyjechałem na Litwę, właśnie dlatego mam od ojca wziąć Ziembów i założyć przedsiębiorstwo.

Otworzył okno i spojrzął w park, majączący pod światłem księżyca, który płynął przez ciężkie chmury.

I świat był nakształt gmachu sklepionego, A niebo nakształt sklepu ruchomego, Księżyc, jak okno, któredy dzień wchodzi.

Dziwił się sam sobie Kazimierz, że od wstąpienia na litewską ziemię przypominał ciągle wiersze. Nie dlatego tylko, że były

to wiersze wielkiego Litwina. Kraj sam jest poetyczny, śpiewny. W powietrzu paryskim naprzykład jest dowcipna literatura; tak samo na Litwie, rozcieńczona w zapachu, płynąca rytmem jezior i pagórków, mieszka poezya.

Znowu tu pachnie tak dziko, a miłośnicie, jak przy dojeździe wieczorem do Wiszun. A niema nawet jeziora w pobliżu, ani olszyny w parku. Widać, pachnie tak ziemia?

Park mienił się pod księżycem; to otwierał się w dal mgłami, rozłożonemi na trawnikach pośród wysokich gąszczów, to skracał swe perspektywy, czerniał i jakby podstępował bliżej ku oknu zwartą masą szeleszczących cieniów. Z dalszych łąk dolatywały dwoiste chrapania derkaczów...

Chłodno było, ale tak zdrowo i rzeźwo w tych cieniach, że Kazimierz radby się w nich skąpał. Ale już i sam powiew przez otwarte okno ochładzał go, tylko nie wywiął mu z głowy jednego uporczywego obrazu:

— Czy ona patrzy w ten park? Gdzie mieszka? Może blisko ode mnie?

## VIII.

Zaledwie rozdniało, bracia Zaslawsy pierwsi ruszyli do lasu, gdzie podjęli się urządzić polowanie z gończymi na lisy. Za nimi mieli podążyć inni myśliwi, mniej lub wcale nie obeznani z puszcą i z litewskim sposobem polowania, które jest pobieżnie tylko naszkicowaną przygodą. O jakimś geometrycznym planie, o zajęciu takich a takich ostępów, o wyznaczaniu stanowisk nikt z góry nie przesądza. Jedzie się na umówiony punkt zborny, a stamtąd, gdy psy zagrają, „Bóg ich wie”, gdzie się zapędzą, gdzie urwą, gdzie złowią się, znowu poprawią, z oka wezmą, gdzie pociągną za sobą myśliwych. Zależy od przesmyków, od kierunku wiatru, od dnia, od szczęścia.

Na drabiniastym wozie parokonnym miejscowego wzoru trzęśli się Miś i Beno w licznych towarzystwie. Na obu siedzeniach, szeroko sianem wypchanych, tkwili w różnych pozycjach, zwróceni od koni i do koni, „ochotnicy”. Było ich pięciu oprócz książąt i powożącego parobka, a kto im się przyjrzał, zrozumiał od razu, że nazwać ich inaczej nie można, jak tylko „ochotnikami”. Ludzie ci, choć rozmaici, mieli wszyscy oczy pogodnie przebiegłe, oczy leśne, w czujnych i zdrowych twarzach. Hultajstwo, zamieszkałe w chatkach pod lasem dla stałego zajęcia kłusownictwem; dwaj nominalni leśnicy dworscy, jeden niby smolarz, jeden niby kołodziej; wszyscy przy strzelbach własnych, wszyscy zawołani „ochotnicy”.

Między dwoma siedzeniami sześć ciał psich czarno-rudych kotłowało się, jak w garnku, walcząc o miejsce z nogami myśliwych, i sześć łbów drżących i skomlących to się kładło na kolanach strzelców, to, zdławione sforką, wyglądało na boki poza drabiny wozu, chwytając chciwie w nozdrza wiatr obiecujący.

A między psami—zdawało się, że na ich grzbietach—siedziała boczkim postać ludzka wysuszona, zgięta w pałąk, nogi, obute w chodaki, trzymając przerzucone przez drabkę. Głowa zupełnie lisa z rudemi bokobrodami osadzona była na ciele wątlę i lekkim, jak próżny worek. Niełatwoby zgadnąć, po co wieziono na polowanie ten numizmat strzelecki, zbrojny w zardzewiałą jednorurkę typu „napoleońskich” karabinów, cmokczący obwisłą wargą porcelanową fajkę o giętkim cybuszku. Był to jednak sam wódz ochotników i obieżyświatów okolicznych, strzelec dotąd niezrównany, odwieczny sługa Zaslawskich, przyboczny jeszcze dziada młodych książąt, którzy go wozili z sobą nieodstępnie—Jurko Lejtan. Znał on nietylko puszcze książęce, ale i lasy połowy Litwy. W kniei, do której jechano, chociaż cudzej, niktby lepiej nie potrafił się pokierować. Wyhodował też i zaprawił wszystkie psy, między którymi siedział i z którymi razem przyjechał do Rarogów.

— Jakże, Jurku, dobrze będzie?

Stary wyga puścił fajkę z zębów i rozejrzał się siwemi oczyma po niebie:

— Sama ta pogoda.

Chmury barwy zabrudzonego mleka rozdzierały się tu i owdzie, odkrywając szmaty błękitu; poranek tchnął dreszczem i dobrą

wróżbą. Cała kompania, ludzie i psy, pokrewną owionięta radością oczekiwania łowów, wędrowała w kraj, zamykający się coraz bardziej po bokach klamrami lasów, ku zwartej, ciemnej ich masie. W tych klamrach murawa jeszcze zieleńsza i soczystsza, zboże jeszcze jaskrawiej rude i złote.

Młodym szalawiom książęcy byłoby wybornie w towarzystwie tych szalawiów ludowych, z którymi dzielili jeden posiłek, zabrane w torby myśliwskie, jednakże trudy i wzruszenia. Zaslawsy odznaczali się wprawdzie lepszym ubraniem, lepszą bronią, delikatniejszym typem, ale byli tylko, chociaż najmłodszy na wozie, niejako pierwsi pośród równych. Zresztą najściślejsze pokrewieństwo instynktów i pragnień łączyło tę ochoczą czeredę, sunącą, jak pocisk zbiorowy, do jednego celu.

— Macie wszyscy trąbki?—zapytał Beno, oglądając kolejno strzelców.

Trąbkę, oprócz książąt, miał tylko leśnik Matyszkiewicz (właściwie Matieszunas). Tu Jurko Lejtan wygłosił jedną ze swych maksym łowieckich:

— Zwierz trąbki się boi, panieńku ty mój. Póki psy ruszą, tylko głosem ich nawołuj; a jak pójdzie gon, to i dech zaprzyj. Trąbka tylko do odwołania psów, albo kiedy już samym zwołać się.

Odezwał się Sidorkiewicz, leśnik, chłop setny o szerokiej piersi:

— A cóż, panie Jerzy, głosu wam jeszcze starczy?

Sidorkiewicz mówił napół z uszanowaniem, napół ironicznie do starego, który wyglądał na chyrlaka.

Jurko odjął fajkę od ust, splunął cienko i, nadymając podgardle, jak indyk, wrzasnął:

— Hola tola tola, hola tola tola tiuuul

Aż w mózgach zaświdrowało towarzystwu, aż echo powróciło od dalekiego lasu. Psiarnia z dzikim skowytym jęła się wyrwać w pole; z trudnością ją pohamowano.

— Patrzaj jaki!—kołysali młodzi strzelcy głowami.

Jurko, rozweselony, spojrzął w oczy Bernarda Zaslawskiego, któremu przygniatał nogi swą lekką osobą:

— Czy wiesz, panieńku ty mój, jak szerokie jezioro w Juzyntach pode dworem?

— Chyba wiorsta będzie.

— I z połową jeszcze. To my, bywało, z nieboszczykiem księciem Mikołajem chodząc na kaczki, on jednym brzegiem, ja drugim, godzinki śpiewali naprzemiany przez jezioro. Ot jaka sztuka!

— To i mój dziad miał taki głos?—pytał Beno z wesołym zaciekawieniem.

— Sławny głos, panieńku ty mój! Spotkał raz złodzieja w zamku już koło skarbcza. Jak huknął, tak i złodzieja zabił.

— Musiał go przytem dobrze pomacać—powątpiewał starszy Zaslawski.

— Ani palcem. Samym głosem zabił, dalibóg prawda.

Lejtan uśmiechał się staruszkowato i serdecznie, łącząc na potęgę, byle w stylu, pożądany przez młodych książąt. Według jego opowieści, bywało dawniej na Litwie tyle zwierzyny, że z ubitej robiono pasztety dla

kundłów dworskich, a łosie i niedźwiedzie pasły się z bydłem na leśnych polanach. Ludzie przed laty pięćdziesięciu byli wielcy i szlachetni, zwłaszcza książęta Zaslawsy. A za każdą usługę dawali jemu, Lejtanowi, dukata. Był też gotów na rozkazy młodych swych panów, jednak tylko w zakresie myśliwstwa. Popłatnem rzemiosłem stręczenia dziewczyn nie zajmował się Jurko nigdy. Zresztą Miś i Beno mieli do tego użytku innych, z wyższego towarzystwa.

Las zacieśniał się coraz około drogi, zwęzły się polany i półka; smolny zapach jodeł zapanował w powietrzu. Forpoczty polowania dotarły wreszcie do ściany puszczy, gdzie stała chata leśnika. Tu był punkt zborny.

Stary Jurko wysypał się pierwszy z wozu i klapnął chodakami o ziemię, jak kot, spadający na nogi. Za nim wysypały się psy, mocno trzymane na sforach, potem myśliwi.

Michał Zaslawski, który nabrał już pędanteryi w myśliwstwie, cechującej młode pokolenie, obciągnął na siebie zgrabną angielską kurtę i rzekł, przybierając postać dowódcy:

— Zdaje się, że można palić? Wiatr od lasu.

— Można, można—potwierdził Jurko, nakładając nową fajkę—zaczniemy stąd daleko.

I zwrócił się do psów pieszczotliwie:

— Cicho, ciučki, cicho... Pośpieją ciučki nagonić panom lisa złodzieja, pośpieją... A nie niuchaj ty, Organ, kiełbasy w torbie, bo wiatr stracisz... Dostaną ciučki jeść, ale po harapie.

Psy ugłaskane przyległy, a myśliwi siedli rzędem na kłodzie przy drodze, gwarząc cicho wobec majestatu i tajemnicy puszczy.

Dobłą godzinę czekali na dwie bryczki, które przywozły obu Budziszów, Assernhofs i Rokszycykiego. Razem z Zaslawskimi sześciu myśliwych i co najmniej tyluż „ochotników”, bo z chatek podleśnych przyłączyło się jeszcze paru, poszło teraz leśną drożyną, opuściwszy podwozy. Lejtan i Matyszkiewicz prowadzili jeszcze psy na sforach.

Hieronim Budzisz szedł pierwszy za miejscowym przewodnikiem. W krótkim kubraku, przepasanym ładownicą, ze strzelbą, która przy jego postaci wydawała się ptaszną, wyprostowany bardziej, niż zazwyczaj, stąpał wielkimi krokami w milczącym podnieceniu. Twarz mu promieniała grozą i radością leśną. Był w swoim żywiole.

Obok, o ile wąskość drogi pozwalała, postępowali pan Apolinary i Gotard. Wypływały wąs Apolinarego stykał się prawie z białym promieniem zarostu Gotarda. Czuli do siebie skłonność i gadali bez ustanku. Chociaż milczenie było wymagalne przy obchodzeniu ostępu, nikt nie śmiał im zwrócić uwagi. Zzymali się na nich cicho Zaslawsy, towarzyszący mniej więcej nieodstępnie Rokszycykiem.

— Spłoszą nam lisa stare gaduły; zaraz psy puszcza—mówił szeptem Miś.

— Czy jeden tu jest?—łagodził Kazimierz.—Bawimy się. Sama przechadzka coś warta



STANISŁAW OSTROWSKI:

## OSTATNI Z PUŁKU.

Trzydniowa „walka narodów” pod Lipskiem odniosła krwawy koniec.

O mglistym świcie dnia 19 października armia francuska, mocno przeredzona, opuszczała miasto. Ostatnie jej tabory wczesnym rankiem przeciągnęły przez most na Elsterze, pod którego arkady podłożono miny niezwłocznie.

Z rozkazu Napoleona przed Lipskiem pozostał jedynie książę Józef z resztkami piechoty polskiej w celu bronienia przedmieść i osłonięcia odwrotu armii.

Oni to zostali pozostawieni na tej placówce straconej! Oni zostali skazani z góry na ostateczną zatrąę...

Którzy ze wszystkich sprzymierzeńców okazali się najwierniejszymi...

Którzy sami jedni wytrwali aż do ostatka...

Linie piechoty polskiej rozciągnęły się przed miastem, poczynawszy od bramy Grimma aż do fortyfikacji, zwanej Petersthor. Oprócz Polaków, w mieście pozostały piesze oddziały saskie, których postawa była nader niepokojująca i wierność mniej niż wątpliwa.

Przed jedną z bram w bojowym szyku stały resztki pułku 12-go. Pułk ten w trzydniowej walce ucierpiał wiele. Skład jego kompanii ze 160 ludzi spadł na 64 zaledwie, z sześćdziesięciu oficerów zostało dziewięciu w całym pułku.

Żołnierze w ponurem milczeniu patrzyli posępnie w ciężkie, nieprzeniknione mgły, jak w oblicze niezbadanego przeznaczenia. Złowrogiem przeczucie ciężkim głazem spadło na serca. Surowe twarze wiarusów stężały i jakby skrzepły w martwą nieruchomość. Oczy ich miały wyraz przyćmiony, nijaki i były jakby cofnięte do wewnątrz. W tej godzinie przed oczyma może duszy przesuwwały im się półjasne, dalekie obrazy pól i chat ojczystych, odległej rodzanej ziemi, odbitej kiedyś na lat zaraniu, po której w tych zawiedzionych skrzepłych piersiach pozostało już tylko jakby widzenie anielskie i krótki, zdławiony szloch...

W tej uroczej, nieodzownej godzinie...

Około południa mgły zaczęły się związać i odsłaniać z pod siebie puste, samotne błonia, w tem miejscu, gdzie wczorajszego jeszcze wieczora stały linie i kolumny armii francuskiej. Wówczas na odległych pozycjach nieprzyjacielskich wszczął się ruch natychmiastowy.

Ogromne masy piechoty zwartymi kolumnami zaczęły się zbliżać pod miasto.

Na ów widok głucha zawziętość wezbrała w piersiach żołnierskich przeciw temu wrogowi, który był przyczyną tych wszystkich klęsk, który teraz oto czyha i dybie na ich zagubę...

Tyralierzy nieprzyjacielscy wyciągnęli się długim łańcuchem i ostrożnie skradali się ku przedmieściu, osaczając je nakształt

sieci z różnych stron. Jednocześnie silna kolumna pruska generała Sackena wtargnęła na przedmieście, maszerując środkiem ulicy prosto ku bramie, przed którą stał pułk 12.

Dowódca tego pułku, pułkownik Malczewski, który stał przed frontem szeregów, przemówił wówczas gorąco:

— Żołnierze! nadeszła chwila, byśmy uczciwie, zgodnie z honorem żołnierskim wypełnili swoją powinność. Wspomnijmy na naszą przysięgę żołnierską i pamiętajmy, żeśmy Polakami!

Szeregi zachowały głuche milczenie. Jenno piersi żołnierskie głębiej nabrały powietrza i sękatę, twarde dłonie krzepciej ścisnęły broń!

W tej chwili kolumna nieprzyjacielska ukazała się przed nimi, na szerokiej ulicy przedmieścia. Na widok szeregów, ustawionych przed bramą, wstrzymała się, jakby w wahaniu. Zaczem zwróciła nieco w prawo i, w poszukiwaniu pozycji obronnej, oparła się tyłem o długi budynek murowany.

Wówczas z ust pułkownika Malczewskiego zabrzmiała komenda:

— Baczność! Broń do ataku!

Ruszył koniem, rzuciwszy twardy rozkaz:

— Za mną naprzód! Marsz!

Pułk zwartą kolumną runął do ataku. Prusacy przypuścili atakujących na dwadzieścia kroków i przyjęli ogniem rotowym. Ale już bagnety żołnierzy polskich topiły się w pierwszych pruskich szeregach. Wszczął się bój zażarty, krwawy, bez pardonu. Gdy przednie szeregi walczyły z sobą pierś o pierś, plutony pruskie, głębiej stojące w kolumnie, nie przestawały sypać rzesistym ogniem. Z obu stron trup padał gęsto.

Znagła gwałtowny tętent rozległ się obok. Szwadron kirasyerów francuskich uderzył w nagłej szarży na prawy bok kolumny pruskiej i rozbił ją w okamgnieniu. W krótkiej chwili Prusacy zostali wyklóci i wycięci doszczętnie. Żołnierze polscy zajęli się do tego stopnia, że ani jednemu Prusakowi nie dawali pardonu, widząc zaś rannych dźwigających się, bagnetami przybijali ich do ziemi.

Pułkownik Malczewski, zebrawszy zapamiętałych w walce swoich żołnierzy, niezwłocznie nanowo sformował bataliony. Jakoż był czas wielki. Z przedmieścia dochodził i zbli-

żał się coraz bardziej warczący, przyspieszony odgłos bębnow. Niebawem z poza drzew i domostw wyłoniła się maszerująca pośpiesznie kolumna piechoty austriackiej, znacznie silniejsza, niż poprzednie.

Żołnierze pułku 12-go, jeszcze ciężko dyszący piersiami po tylko co ukończonym boju, zębem i białkiem wilczem przyjęli nowego nieprzyjaciela, który ukazywał się przed nimi. Dzika żądza pomsty i szal bojowy opanował ich zupełnie. Jakby krwawy opar przesłonił im oczy. Nie mieli innej myśli i żądzy pod czaszką, jak dźgać bagnetami piersi nienawistnego wroga, ostrzem stali pruć jego wnętrzości, szerzyć dokoła śmierć i mord. Gdy zabrzmiała komenda, runęli zwartymi szeregami naprzód, ścisnąwszy w dłoni morderczą broń.

Piechury austriackie sypnęły na nich gradem kul. Bataliony polskie również odpowiedziały ogniem. Obie kolumny już niemal wparty się w siebie nawzajem, a żołnierze z obu stron wciąż ponawiali salwy karabinowe z takim pośpiechem, że lufy parzyły dłoń!

Szeregi rzedniały szybko od tego rodzaju morderczej walki. Plutony czołowe obu kolumn tak blisko już ścierały się ze sobą, że żołnierze dawali ognia, przykładając lufę niemal do piersi nieprzyjaciela. Za wystrzałem w tym samym momencie następował cios nieomylny bagnetu. Pułkownik Malczewski, pragnąc przykładem zagrzać swych żołnierzy, wcisnął się koniem pomiędzy swój front, a nieprzyjaciela. Gołą szpadą odbijał razy bagnetów i oczom swych podkomendnych świecił, jako wzór żywy nieustraszonego, niczem nie zachwianego męstwa.

Jednak niedługo było tej pięknej, rycerskiej brawury. W jakiejś chwili Malczewski, naraz podniósłszy w górę obie ręce, zsunął się z konia, mając kilku naraz kulami prześzyte piersi.

Żołnierze, pragnąc pomścić śmierć ukochanego dowódcy, z dziką rozpaczą w sercu wbili się bagnetami w szeregi piechurów austriackich.

W tej właśnie chwili kirasyerzy francuscy, którzy już raz tak skutecznie wsparli kolumnę polską, gotowali się do szarży na Austriaków. Już szwadron ruszył z miejsca, i konie brały co największy pęd, gdy wrzący deszcz kul spadł na nich zniemacka z tyłu. Skutek tej salwy był zabójczy. Połowa koni i część jeźdźców legła na miejscu. Reszta rozpierchła się w zamieszaniu.

Na plac z bocznej uliczki wkraczała świeża kolumna austriacka, trzymając w dłoni jeszcze dymiące się karabiny.

Wówczas obie kolumny austriackie, złączywszy się razem, siłami przemagającymi na resztę pułku 12-go natarły. Jednocześnie z przyległych domów zdradzieccy Sasi sypnęli na niedobitków z tyłu gradem kul. Nie było już wyjścia z tej krwawej rzezi. Żołnierze zrozumieli, że wybiła dla nich ostatnia godzina. Żaden jednak nie rzucił broni, żaden nie prosił o pardon. Rozpacz jeszcze wzmogła w sercach zuchwa-



Malczewski naraz zsunął się z konia.

STANISŁAW BAGIEŃSKI

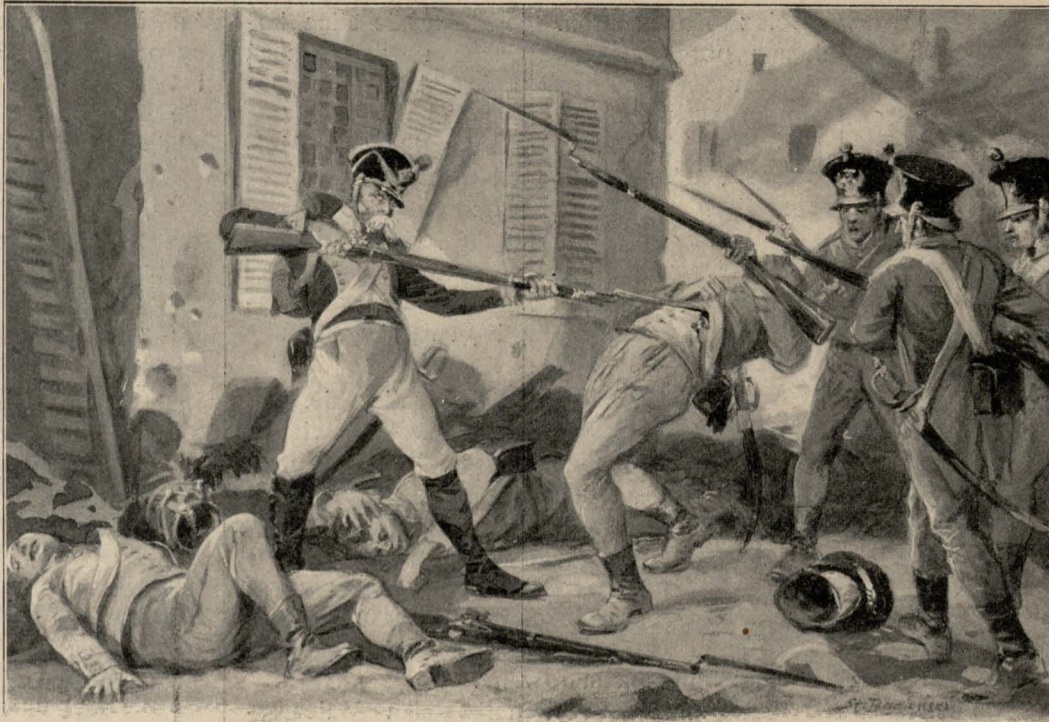
łe męstwo. Rozbici i roztrąceni z szeregów, w pojedynkę lub w kilku bronili się zacięcie do ostatka, bagnietami siląc się utorować sobie drogę wśród gęstwy nieprzyjaciół. Wzrokiem nieustraszonym spoglądali wprost w oczy śmierci. Przemozżeni od dziesięćkroć silniejszego nieprzyjaciela, ginęli z ociekającymi krwią bagnietami w dłoni, jak bohaterzy.

Nieco na uboczu placu, opadnięty przez sześciu piechurów austriackich, walczył zajądnie sierżant kompanii grenadyerów pułku, Grzelachowski. Jak stary, doświadczony odyniec, który już nieraz bywał w matni, osaczony przez zgraję psów, błyska na nich białymi kłami, zadając śmiertelne ciosy napastnikom — tak stary sierżant wprawnym bagnietem utrzymywał w pewnej odległości nieprzyjaciela. Był to istny fechmistrz swej broni. Sztuką niezrównaną i godną najwyższego podziwu, z dołu i z góry odbijał ciosy austriackich bagnietów, ku jego piersi skierowane, w najkrytyczniejszej chwili cofając się, to znów wysuwając ku przeciwnikom żądło swojego bagnetu. Jednego z nich niebawem rozciągnął na ziemi. Piechury, widząc, że nie poradzą takiemu mistrzowi od frontu, okrążyli go dokoła z tyłu i boków. Wówczas Grzelachowski w mgnieniu oka obrócił karabin i, ujawszy go w garść za lufę, u nasady bagnetu, jak chłop kłonicą, począł wywijać bronią straszliwego młynka. Kolbą, jak maczugą, grzmocił z góry po bagnietach, prał po nazbyt wysuniętych rękach i łbach przeciwników. Niebawem drugi z nich z rozwaloną czaszką runął u stóp chwilowego zwycięzcy. Lecz pozostali czterej z tem większą zajądłością natarli na sierżanta od grenadyerów.

W tej właśnie chwili z tłoku walczących wypadł młody, gołowąsy żołnierz. Oczy miał szeroko otwarte i pełne zgrozy, po bladej, śmiertelnie znużonej twarzy spływały mu strugi potu i krwi. Znac było, że się wydarł z krwawej kąpieli. Napół błędnymi oczyma zatoczył dokoła. Ujrzał o dziesięć kroków przed sobą starego sierżanta, zmagającego się w walce śmiertelnej z przemagającym nieprzyjacielem. Zdawało się, że młody żołnierz jakgdyby zawahał się przez moment. Wraz jednak ścisnął w rękę kurczowo broń i skoczył sierżantowi z odsieczą. Rzutem niespodziewanym, od tyłu wraził bagniet w plecy Austriakowi tak, że ostrze przeszło na wyłot. W chwili następnej już z drugim szedł na bagnety.

Dywerysja, jaką uczynił, ocaliła sierżanta. Mając przed sobą już tylko dwu nieprzyjaciół, natarł na nich z poczuciem przewagi zwycięskiej. Po kilku mistrzowskich złożeniach się, jeszcze jeden piechur austriacki padł z przesyta deką piersiową. Ostatni z napastników stchórzył i umknął z placu.

Wówczas Grzelachowski odetchnął z głębi zmordowanej piersi. Otarł skrwawiony bagniet i obejrzał się za towarzyszami. Młody żołnierz stał nad dwoma trupami nieprzyjaciół. Chwiejąc się, wsparł ramieniem na karabin,



Walczył zajądnie sierżant Grzelachowski.

STANISŁAW BAGIEŃSKI

wrażony bagnietem w ziemię. Z szerokiej rany pod żebrem strugą chlustała mu gorąca krew.

Stary sierżant chwycił go za ramię i, nie bawiąc się, słowami pociągnął za sobą, w kierunku ulicy miejskiej. Za nimi rzeź dobiegała końca. Gdy weszli w bramę, z okien przyległych domów wyrzały bermyce saskie. Kilka kul świsnęło koło zbiegów. Trza było nawracać z pośpiechem.

— Przeklęte Sasy! — zaklął przez zęby Grzelachowski. — Pomór na takich sprzymierzeńców! Zawracajmy! Nie przejdziemy miastem!... Skręcił w prawo, gdzie poza murami miejskimi ciągnęły się nad Elsterą ogrody spacerowe. Włókł za sobą swego towarzysza, który całym ciałem zwiślał mu na ramieniu. Naglił go do pośpiechu, który jedynie mógł ich ocalić.

— Nuże, kamrat, krzep się!... zbierz się ostatek! Jenoby nam do mostu... Tam już cesarz, cała armia... Nuże, jeszcze aby krzynekę drogi... Nie bądźże flejtuchem, niedołęgą... pamiętaj, żeś żołnierz!

Za załomem muru przystanął na moment, aby nabrać tchu. Zgiełk i wrzawa blizkiej walki dochodziły tu echem zmieszaniem. Z głębi miasta słychać było raz po raz rozlegające się strzały.

Wtedy żołnierz, wyczerpany do ostatka ranami i upływem krwi, zwiśł całkiem bezsilnie. Zbielałymi wargami wyjęczał:

— Ostawcie mnie... niech tu zginę... Ratujcie się sami.

Stary sierżant pod białym wąsem warknął gniewnie:

— Cóż to? Niesubordynacja?!... Nie widzisz to, kto ci wstać przykazuje? Twój sierżant! Rusz mi się zaraz, ty niedołęgo jakiś! rekrucie! babo!...

Używając niemal przemocy, pociągnął dalej za sobą rannego towarzysza, który mu leciał przez ręce. Wlekli się wzdłuż pobrzeża rzeki, ulicą, wysadzaną stuletniami drzewami. W jakiejś chwili wśród drzew mignęły przed nimi zdala sylwetki kilku jeźdźców, przelatujących cwałem. Staremu sierżantowi widziało się, jakoby rozpoznał barwy narodowe. Zebrał resztkę sił i zaczął biedz, dźwigając na ramieniu mdlejącego kamrata. Nagle z okienic jednego z domostw nadbrzeżnych runęły strzały, skierowane bez wątpienia ku ucieka-

jącym. Z okna domu następnego ukazały się natychmiast lufy karabinów i wyrzały okrągłe czapki saskie.

Wówczas w sercu Grzelachowskiego targnęła się rozpacz ostatnia. Zwrócił ku Elsterze i stanął nad samym brzegiem. W chwili, gdy chciał się rzucić w nurty rzeki i próbować wpław dosięgnąć przeciwnego brzegu, gdzie czekało zbawienie, usłyszał za sobą tupot nóg biegnącego człowieka. Obejrzał się bezwiednie. Obok przebiegał piechur francuski nie wiedząc z jakiego pułku. Widząc, że sierżant zamierza skoczyć do rzeki, rzucił ostrzeżenie:

— Z tej rzeki wyjść

niepodobna... brzeg stromy i wyłożony kamieniem. Nie gub się, kamrat!

(DN)

CATULLE MENDÈS.

## Najlepsza maska.

— Jakąż maskę mam przybrać na ten bal czarownicy, na którym popełnione zostaną setki szaleństw, aby mnie nikt nie poznał? Poradz mi pan, czas ucieka—prosiła mała śliczna hypokrytka o zdradzieckich oczach i kłamliwych ustach.

— Może czapczkę z czarnego jedwabiu, lub czepeczek różowy z białą koronką, co na całą twarz mi spadnie? A może maskę japońską, o okrutnym i fantastycznym wyrazie, lub nos jakiś wielki, sztuczny, by wydać się brzydką, bo przyjemnie jest uchodzić za brzydką, będąc tak piękną, jak jestem?—pytała mnie z zalotnym uśmiechem mała śliczna hypokrytka o zdradzieckich oczach i kłamliwych ustach.

— Nie, pani—odrzekłem.—Nie trzeba przybierać się ni w czarne, ni w różowe czapczki, ni w maski japońskie, lub wielkie, sztuczne nosy. Niech pani tylko na usta swe piękne wywoła uśmiech obietnicy, która nie skłamie, i szczerą, otwartą wyraz w swe oczy i rumieniec prawdziwej niewinności na aksamitną twarzyczkę, wystarczy to, aby nikt pani nie poznał na tym balu czarownym, na którym popełnione zostaną setki szaleństw.

## MUR.

Silną pięścią rozerwałem płótno obrazu, na którym jakiś zręczny artysta przedstawił niezmierny obszar morza rozfalowanego i przestwór nieba, upstrzonego drżącymi gwiazdami. I ręka ma wtedy, rozdarłszy płótno, natrafiła na mur twardy, mur ciemny, mur nie do przebicia.

Rozdzieliła mnie ta kłamliwa wizja nieskończoności, przedstawiona potokami błękitu, seledynu i złota, u sprzedawcy farb kupionego. Lecz, gdy ją zniszczyłem, uderzyła ręka ma o mur twardy, mur ciemny, mur nie do przebicia.

Gniew mój ustąpił, lecz szła ku mnie melancholia cicha, a głęboka, i, zaciskając z bólem dłonie, pytałem się siebie, czy ten człowiek, którego pięść będzie dość silna, by przebić rzeczywiste bezmiary horyzontu, nie natrafi z tamtej strony, poza otchłanią morza, nieba i gwiazd, na mur twardy, mur ciemny, mur nie do przebicia?

Przekład JERWICZA.



Front gmachu Banku Handlowego w Warszawie.



Westibul skarbcza z prowadzącymi do niego drzwiami. Na prawo łoże-zagródki dla klientów.

## Nowy skarbiec w Banku Handlowym.

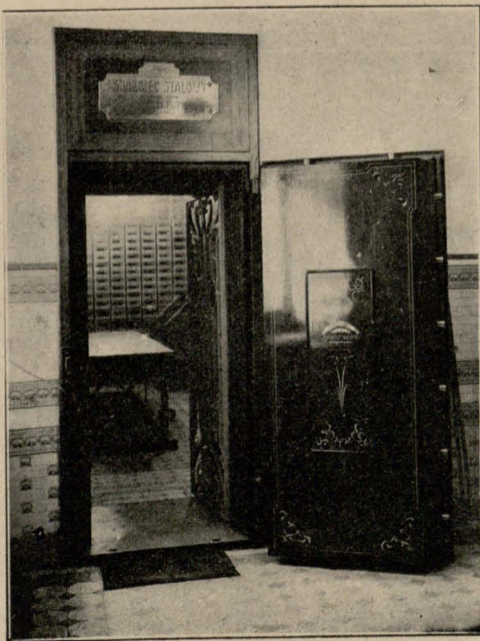
Dobrze zrozumiany interes instytucji, na usługach publicznych będącej, nakazuje każdej z nich iść z postępem czasu i udoskonaleniu technicznych we wszelkich kierunkach, w jakich one zastosować się dadzą. Im większa jest dana instytucja, tem większe ma obowiązki względem szerokich kół swojej klienteli, bo—„noblesse oblige”... Zrozumiała to właściwie Dyrekcja Warszawskiego Banku Handlowego, która z naczelnym jej kierownikiem, p. Wojciechem Sawickim, postanowiła skorzystać przy dobiegającym czterdziestolecu naszej największej instytucji bankowej z nadarzającej się sposobności,—dzięki znacznemu rozszerzeniu i udogodnieniu pomieszczeń bankowych, ułatwionemu nabyciem przylegającego do dawnego gmachu Banku Handlowego domu —i stworzyć w nim zupełnie nowy oddział, wyłącznie właśnie wygodę klienteli bankowej na względzie mający.

Wszystkie wielkie i mniejsze banki zagraniczne, a i kilka warszawskich, mają u siebie opancerzone skarbcze, służące publiczności do przechowywania w nich pod bezpiecznemi skrzydłami danego domu bankowego i za silnymi ryglami najwymyślniejszych zamków, papierów wartościowych, gotowizny, dokumentów osobistych i klejnotów. Takiego skarbcza brakowało dotychczas naszemu Bankowi Handlowemu. Najstarsza ta więc w Warszawie instytucja bankowa, urządzając obecnie u siebie skarbiec taki, musiała, ze względu na swoje pierwszorzędne stanowisko, stworzyć coś, czego jeszcze w tym zakresie dotychczas w naszym mieście nie było.

Znakomitego wykonawcę tego nowego oddziału Banku znalazł on w firmie p. Roberta Bothego, znanej ze swego doskonałego postępu w budowie kas ogniotrwałych, w której wyspecjalizowała znakomicie swoją fabrykę. To też urządzenie nowego skarbcza dla publiczności w podziemiach Banku Handlowego stanowić może nie tylko prawdziwy popis techniczny tej fabryki, ale jest zarazem doskonałym uplastycznieniem postępu danej gałęzi naszego przemysłu miejscowego, doprowadzonej do perfekcji.

„Safesy” Banku Handlowego gotowe są już od 1 marca i zapełniają się mieniem licznych klientów bankowych. Godzi się więc przypatrzeć urządzeniu tego nowego oddziału, który przedstawia nie tylko zupełną gwarancję dla właścicieli prywatnych depozytów, ale rów-

nocześnie jest czemś zupełnie nowem i nie widzianem w Warszawie, na taką skalę i z takimi przornościami gwoli bezpieczeństwu od ognia, złodziei i niedyskrecyi ludzkiej obmyślonem. Istotnie wyteżono w tym kierunku pomysłowość i ostrożność, których chyba dalej posunąć nie można. Z wnętrza biur bankowych opuszcza się klient nowego skarbcza windą, lub schodzi po schodach wewnętrznych do podziemi banku, zamienionych umiejętnie przez autora jego przebudowy, budowniczego p. Hugona Kudeła, na odosobnioną jakąś krainę mocy i spokoju, których nastrój owdanie każdym, znajdującym się w skarbcu tym bankowym. Przez szeroki kurytarz, wyłożony na nowy sposób emaliowaną blachą, nadsładowaną do złudzenia lśniąca majoliką, wchodzi się do dostatecznie dużej szatni, z której krok już tylko do westibulu skarbcza, służącego za biuro zarządzającego nim specjalnie skarbnika, oraz zaopatrzonego w siedm odosobnionych łoż-zagródek, specjalnie na potrzeby klientów skarbcza obmyślonych i przygotowanych. Każdy z nich znajduje tu wszystkie sprzęty niezbędne mu do przejrzania, zmiany lub dopełnienia zawartości swojej kasetki. Pozostawiony sam sobie i zupełnie niewidzialny, może on dopełniać wszelkie manipulacje, z zabezpieczeniem dobra swego złączone, z gwarancją wyłącznie osobistej świadomości wartości i treści przechowywanego materiału. Służą mu do tego: specjalna półeczka, biureczko bez szuflady, fotel i dzwonek elektryczny, komunikujący go jedynie z zewnętrzną stroną Skarbcza.



Wielkie drzwi pancerne skarbcza otwarte.

Właściwe wejście do Skarbcza stanowią drzwi pancerne, grubości przeciętnego człowieka, zamykane na rygle, tężyzny ramienia atlety. W ciągu dnia i godzin biurowych są one otwarte, a wejście do wnętrza skarbcza zabezpieczają drugie drzwi wewnętrzne, w formie kraty żelaznej, stale zamknięte. Po otwarciu ich znajdujemy się w izbie, przypominającej swoją najściślej izolacją oddział jakiegoś, przeznaczony na skład materii wybuchowych wielkiego pancernika. Z takiej bowiem właśnie stali pancerniej zrobione są ściany czworokątnego podłużnego pudła, obszaru dużego pokoju, bez żadnych okien lub otworów, stanowiącego właściwy, że tak powiemy, futerał bezpieczeństwa skarbcza, w którym od góry do dołu, od podłogi do sufitu wyłącznie stalowych, odpowiednio ustawione i ściśle do siebie przylegające szafy stalowe mieszczą w sobie dopiero szeregi właściwych „Safesów”, kasetek, a lepiej po polsku szkatułek ogniotrwałych, w liczbie już dotychczas imponującej, około 1700, gotowych do użytku. Szkatułki te zabezpieczone są drzwiczkami, do których zasuwki, posiadac może każdy dzierżawca takiej skrzynki; po odsunięciu tej zasuwki ukazują się otwory dwóch zamków, otwieranych każdy z osobna kluczami, będącymi —jednym w rękę czasowego właściciela „Safesu” i drugim w rękę skarbnika. Tym sposobem jeden bez drugiego do wnętrza szkatułki dostać się nie może. Po otwarciu drzwiczek wysuwa się z wewnątrz przedziałki szafy pancerniej właściwa szkatułka trojkiej wielkości: mała, średnia lub większa, stosownie do opłacanego przez klienta wynajmu rocznego rb. 12, 20 lub 40. Szkatułka ta, zamykana dowolnie również na kłódkę, jest łatwo przenośna, formy podłużnej. Zupełną niedostępność każdej poszczególnej kasetki gwarantuje jeszcze i ten szczegół, że, dopóki klient nie włoży klucza swego w otwór swego zamku, drugi otwór, służący do klucza skarbnika, jest zasłonięty i klucza tego wcisnąć mu nie pozwala.

Tyle gwarancja bezpieczeństwa poszczególnych kasetek.

Dostęp do nich, pomimo wysokości izby pancerniej, ułatwiony jest zupełnie dzięki ruchomym schodkom, na gumowych kółkach przesuwanych, dającymi możliwość sięgnięcia do danej kasetki na każdej wysokości szaf.

Zdawałoby się, że tyle środków, zabezpieczających przedostanie się do skarbcza ognia lub ręki zbrodniczej wystarcza. Byłoby tak w prywatnej kasie ogniotrwałej. Ale skarbiec publiczny musiano jeszcze osłonić i uodpornić od wszelkich ewentualności. Osłonę tę dla płyt pancernych futerału skarbcza, z najdosko-



Wnętrze skarbcza pancernego Banku Handlowego z „Safesami” we wszystkich ścianach.

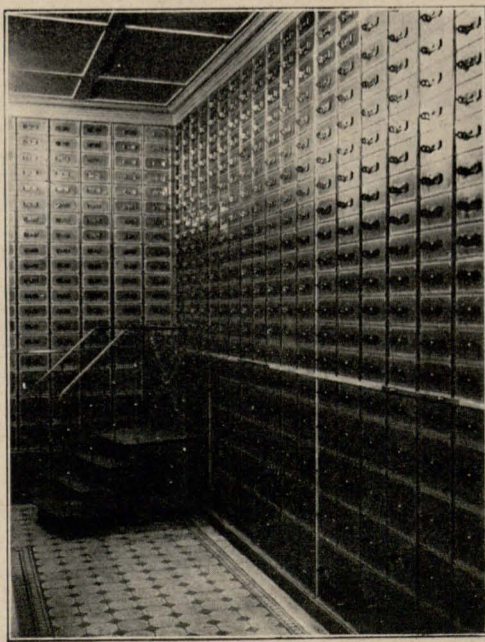
nalszej stali angielskiej sporządzonych, mur, w którym futerał ten umieszczono, będący wianiem z betonu i żelaza. Nie dość na tem: ażeby izolacja tych właściwych ścian skarbcza była zupełną, oddzielono ją kurytarzem, biegnącym wokoło izby skarbcowej, a stanowiącym tak zwane „przejście kontrolujące”. Jest ono ciągle pod okiem specjalnego dozorca, mającego w końcu tego kurytarza swój pokój—strażnicę, połączony z wnętrzem skarbcza dzwonem alarmującym. Takie same dwa dzwony umieszczono u obydwu drzwi wyjściowych oddziału skarbcza; połączone są one drutami, głęboko ukrytymi w ścianach, drutów tych więc przeciąć niepodobna.

W ten sposób skarbiec Banku Handlowego w Warszawie jest najzupełniej przygotowany i odporny na wszelkie najbardziej wymyślne zamachy kunsztu złodziejskiego. Zamknięty na główne drzwi 33-centymetrowej grubości, w których wewnątrz pancernych arkuszy stali wypełnia masa niepalna, nie poddająca się nawet znanemu wynalazkowi złodziejskiemu, tak zwanemu palnikowi Fouché’go—jest on bezwzględnie niedostępny dla nikogo, nie posiadającego sekretu otwarcia owych drzwi zaczarowanych, istnego arcydzieła sztuki ślusarskiej p. Roberta Bothego. Dodajmy, że, nawet gdyby właściciel czasowy kasetki zgubił jeden z dwóch kluczy, sobie powierzonych, znalazcy nic z niego nie przyjdzie, ponieważ po ekspiracji danego terminu wynajmu kasetki zamek, zabezpieczający ją, jako ruchomy, jest zmieniany, i w żadnym razie znaleziony klucz do nowego zamka nadaćby się nie mógł.

Te wszystkie szczegóły i szczególiki wymyślnego i tak skomplikowanego urządzenia

skarbcza publicznego w Banku Handlowym dają zupełną rękojmię najbardziej sceptycznemu właścicielowi składanych w nim walorów, że co do ich całości spokojnie spać może.

Obok tego spokoju postarano się również zapewnić dzierżawcom „Safesów” wszelkie udogodnienia bankowe, mianowicie: w nowym domu Banku od ulicy hr. Berga, na parterze ponad skarbcem urządzono specjalne biuro transakcji bankowych, mogących mieć styczność z zawartością jakąkolwiek kasetek pancernych, jak wymiana kuponów i walorów, sprzedaż i zastaw papierów publicznych, wymiana pieniędzy i tym podobne. Biuro to, po-



Część skarbcza w głębi ze schodkami ruchomymi.

łączone wewnętrznymi osobnymi schodami ze skarbcem, pozwala jego klientom załatwić wszelkie podobne manipulacje bankowe bez pokazywania się w głównym lokalu Banku, a więc znów z najzupełniejszą dyskrecją, ku czemu też służy wejście specjalne wprost z bramy Banku, od ulicy hr. Berga. Obok tego biura przygotowano ponad pomieszczeniem skarbcza drugie zapasowe, jeszcze większe, przeznaczone na rozszerzenie go w miarę zwiększających się zapotrzebowań nowych kasetek, których liczba do pięciu tysięcy dojdzie w przyszłości może. Nie zapomniano również i o oddzielnym telefonie, który numerem 70.00 łączy skarbiec Banku Handlowego z miastem.

Obok bezpieczeństwa i wygody nie postawiono bynajmniej na ostatnim miejscu nie tylko elegancji, ale wprost wytworności w samym urządzeniu skarbcza. Rzuca się ona w oczy przede wszystkim wielką czystością ścian, nasładowanych majoliką, w kurytarzach i westybulu, oraz obfitością oświetlenia elektrycznego. Sprzęty, utrzymane w stylu angielskim, prostotą swą robią najmiłsze wrażenie. Słowem, nie zaniedbano niczego, co nowy oddział Banku Handlowego w Warszawie upodobnić mogło do takich samych urządzeń w największych instytucjach bankowych zagranicą.

Takie właśnie urzeczywistnienie inicjatywy Banku, które znalazło świetnego wykonawcę w panu Robercie Bothem, przynosi naprawdę zaszczyt udoskonaleniu naszego przemysłu w tym zakresie; zarazem jest ono najtrafniejszym uwieńczeniem przebudowy i rozszerzenia pomieszczeń naszej największej instytucji finansowej w dobie kończącej się w lipcu roku przyszłego jej czterdziestolecia.

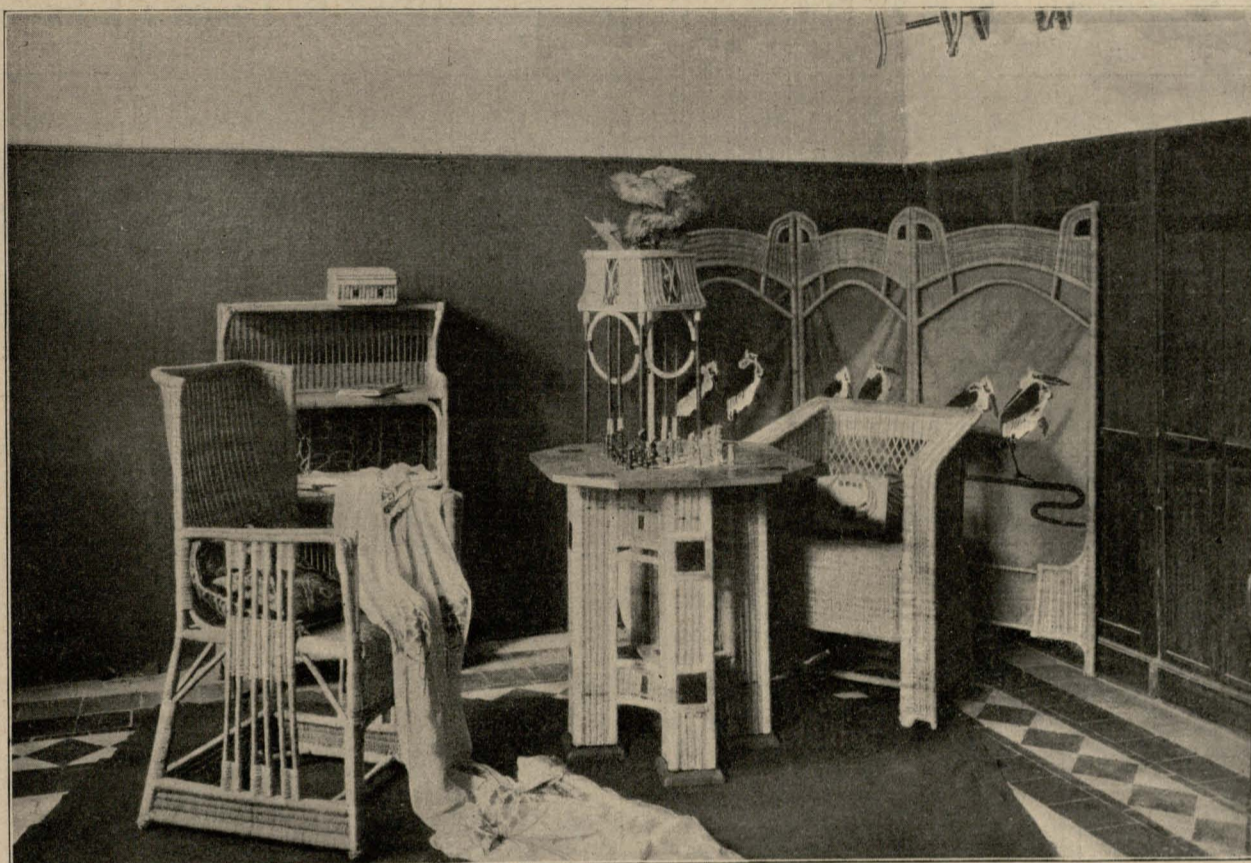
BEZPIECZNY.

# T. & W. KRAKOWSCY

PIERWSZA WARSZAWSKA FABRYKA STYLOWYCH MEBLI TRZCINOWYCH



Medal złoty 1908  
Medal srebrny 1908

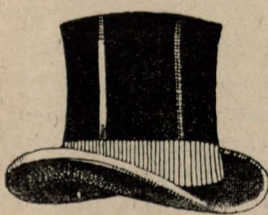


WARSZAWA  
Magazyn:  
Al. Ujazdowska 16  
Telefon 70-10.  
Ajentury:  
MOSKWA, ODESSA,  
KIJÓW, TYFLIS.

11 medali, Dyplom honorowy 1908 r.  
**APTEKA E. GESSNERA** 27. Jerozolimska 27  
w Warszawie

Zamiast tranu  
**EMULSYA TRANOWA**

z solami podfosforanu sodu i wapnia  
Zalecana w chorobach płuc, skrofulach,  
chorobie angielskiej i innych.



**ZDZISŁAW ZDANOWICZ**  
W KRAKOWIE, ULICA SŁAWKOWSKA I. 3.  
poleca nowości na każdy sezon  
**KAPELUSZE-CYLINDRY**

**Serga KALODONT**  
Niezbędny krem do zębów  
Utrzymuje zęby biało, czysto i zdrowo.  
Żądać wszędzie

**DLA CAŁUSA**  
jest stworzoną delikatną, czystą twarz o rumianym, młodociano-swieżym wyglądzie, białej, jak jedwab miękkiej skórze i oślepiająco-pięknej cerze bez piegów i skórnych nieczystości, używajcie zatem tylko prawdziwe Mydło z mleka liliowego „Konik“ wyrobu Bergmann & S<sup>ka</sup>, Radebeul-Drezno. Dostać można wszędzie po 50 kop. za sztukę. Główny skład na Państwo Rosyjskie: Biuro chemicznych preparatów, St.-Petersburg, Newski 28, dom Singera.

KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36  
przesłała na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

**C. Skoryna**  
Warszawa-Praga  
OLSZOWA 14, Tej. 49.  
Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa młynów, Turbiny, Transmisje i t. p.

Najlepsza Pasta do Obuwia „INTRYGANT”  
H. Trembińskiego żądać wszędzie

**J. MIECZKOWSKI, Fotografia**  
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

**HENRYK MICHAUX**  
LEKARZ DENTYSTA  
Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

**MEBLE**  
**ZAŁĘSKI i S-ka**  
Warszawa, Erywańska Nr 2,  
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.

**J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI** Krakowskie-Przedmieście Nr 19  
dom własny

**S. GLIŃSKI** 41 Nowy-Świat 41

Poleca: Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

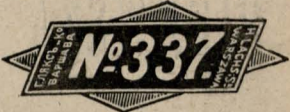
WYSTRZEGAĆ SIĘ PODRABIAŃ! NAŚLADOWCÓW SĄDOWNIE ŚCIGAĆ BĘDZIEMY!

**PUDER IRIS**

Subtelny Hygieniczny  
Niedostrzegalnie Przylegający  
Bezwzględnie Nieszkodliwy

Perfumerya „IRIS” H. Lachs i S-ka

Marka Fabryczna.



Skład fabr. Przejazd 1

**VENUS** puder uznany na wystawach higienicznych za najlepszy i nieszkodliwy.  
**AGATOL** proszek i eliksir do ZĘBÓW z silnym aromatem, najlepsze z dotychczas znanych.

**KONSERWATOR** wzmacnia włosy, powstrzymuje wypadanie takowych, pobudza do porostu, usuwa łupież i mikroby 80, 1.25 i 2 rub, 40 kop

Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34.



Wyprowadzamy z dawnych zapasów

**5,000 gąsiork. wina węg.**  
wytrawnego, średniego lub słodkiego po wyjątkowej cenie rub. 1 kop. 20.  
Dostawa 15 gąsiorków franko.

Skład Win i Koniaku  
**Braci KEMPNERÓW**  
Długa Nr 5. Telefonu Nr 772

Nowe maszyny  
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI

„APOLLO”  
nadzwyczaj dogodny w użyciu, niezawodne w każdym gospodarstwie.

**PASY SKÓRZANE**  
oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca

**ALFRED GRODZKI**  
Warszawa, 33, Senatorska.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26  
Telefonu 167.49.

PASTILLES  
DE  
**TAMAR  
INDIEN  
GRILLON**

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający  
PRZECIWO  
**OBSTRUKCYI**

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem

Magazyn Sukien i Okryć Damskich  
**Władysława Kwiatkowskiej**  
Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Żaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

**LUDWIK SZUFA  
KRAWIEC**  
KRAKOW TELEFON 671

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE  
ORGANY, MELODYKONY  
**GEBETHNER i WOLFF**  
Warszawa Krak.-Przed. 12

**HOTEL SAVOY**

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH  
EKSTRAKT I KARMEŁKI

**LELIWA**

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.  
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja  
**Ch. GEBER w Grochowie**

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.



**E. UNIERZYSKI**

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



**PIERZCHAŁSKI**

SZPITALNA Nr 5, dawniej MAZOWIECKA

Tel 118 38

SKŁAD SZKŁA, PORCELANY i t. p.

Serwisy stołowe, Umywalnie, Figury klasyczne, Garnitury toaletowe, Patery ściennie, Kandelabry saskie, Szkłano-niepekające, Compottery i Słoje.

Ceny niżej konkurencji.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.